

Zeszyt trzeci. Rocznik szósty.

SZCZĘŚCIE KOBIECE

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

ROZDZIAŁ III.

Ojciec Adelaidy był to miły, mały staruszek z twarzą łagodną, zawsze uśmiechniętą. Kto jednak z uwagą na niego patrzał, ten poznał od razu, że staruszek nie uśmiechał się do świata, który widział przed sobą, lub do ludzi, z którymi rozmawiał, ale uśmiechał się sam do siebie, do skrytych myśli i marzeń swoich, któremi w zimie życia swoje chwile osładzał.

Ubiór staruszka składał się z oliwkowego surduta, który niegdyś był wierzchnim surdutem, a teraz pełnił służbę domowej odzieży. Axamitem bronzowym wyłożony kołnierz nosił ślady poważnego wieku, takież same ślady świeciły się na rękawach. Biały kołnierzyk sterczał wysoko i oprawiał w świeże ramki twarz wyżółką i sporo zmarszczkami pokrytą. Na szyi była chustka w gruby węzeł związana. Na nosie miał złote okulary, a prócz tego lewa ręka jego była zawsze lupą uzbrojona, którą śledził monogramy artystów na starych obrazach.

Pan Albert, którego służba hrabią nazywała, był jednak w skrytości duszy swojej więcej niżeli hrabią. Pochodził on z ziemi ruskiej i miał nazwisko, do którego na Rusi bardzo składnie dodaje się tytuł kniazia. Tytułu tego jednak nie można w polskim języku przetłumaczyć na tytuł księcia. To też pan Albert nie próbował tego nigdy między swymi, ograniczając się tylko w kartach wizytowych na skromnej książęcej mitrze, umieszczonej ponad nazwiskiem.

Rozmowa Adelaidy z Edmundem rozjaśniła w głównych zarysach sytuacyą, w jakiej znajdował się obecnie pan Albert. Mimo to trzeba jeszcze do niej dodać niektóre szczegóły, które nam pełną postać ojca Adelaidy należycie oświecą.

Pan Albert był jednym z kilku synów zamożnych rodziców, którzy na Padolu i Ukrainie posiadali znaczny majątek. Nic znalazłszy w kraju pola do szlachetniejszej ambicyi, poszli rodzice pana Alberta zwykłą drogą naszych majętniejszych ziomków, szukając sławy w rozrzucaniu pieniędzy.

Z początku były powiaty ich majątków areną życia na pańską skalę, potem różne stolicy ziem dawnej Polski, a wkońcu stopniowo większe miasta za granicą.

Tym sposobem stopniała wielka, ojczysta fortuna, a gdy już zasobów do pańskiego życia zabrakło, rodzice pana Alberta, jakby się z sobą zmówili, pożegnali prawie jednocześnie ten ciemny padół płaczu, przenosząc się w lepszą krainę.

Na ciemnym padole płaczu zostały osierocone dzieci, a padół ten był rzeczywiście dla nich, po zaborze majątku przez wierzycieli, tak fatalnie ciemnym, że nie wiedzieli zrazu, gdzie pójść i co robić.

W każdem innem społeczeństwie byłaby dla nich

tylko jedna droga pracy osobistej możliwą. W błogosławionej jednak krainie tytułów i próżniactwo protegujących przesądów uśmiechnęła im się przyszłość dosyć ponętna.

Jakkolwiek tytułu książęcego urzędowo nie używali, otaczała jednak ich głowy pewna aureola książęca, przyswojona stosownem wychowaniem. Gdy za granicą się ukazali, każdy szwajcar hotelowy mógłby przysięgnąć, że to książęta czystej krwi. Dopomagało do tego przyswojone od ojca lekceważenie pieniędzy, i przez to lekceważenie nabyty pewien polor towarzyski, który wszędzie dawał im swobodę ludzi wysoko w towarzystwie położonych. Również dopomagały do tego pewne ekscentryczne azardy, które jakkolwiek czasem niefortunnie się kończyły, dodawały im jednak, w oczach pewnych ludzi, pańskiego uroku.

Była to jedyna rodzicielska spuścizna, i ta spuścizna zaprowadziła każdego z nich do upragnionego szczęścia.

Jeden z braci pana Alberta ożenił się z córką milionowego fabrykanta, który miliony swoje chciał okrasić ową mistyczną koroną książęcą, często widzianą na laskach i cygarnicach dobrze widzianego konkurenta.

Drugi uczynił to samo, pojmując za żonę jedynaczkę bankiera, usunąwszy naprzód niektóre przeszkody wyznaniowe.

Trzeciemu, panu Albertowi, najlepiej się powiodło. Był i wilk syty i owca cała. Pojął żonę bogatą i z nazwiskiem arystokratycznem.

Majątek żony, dawniej u nas fartuszkowym zwany, nie zawsze jest zdrowym chlebem dla męża. Często są w nim ości, które kolą podniebienie gorzej, niżeli owoc najpodlejszego bodaku.

Pan Albert nie miał tej twardej natury, która mężom próżniakom pozwala z apetytem zajadać chleb żony, chociażby do tego chleba mieszano plewy i osty. Wiedział o tem dobrze, że do posagu żony trzeba ze swojej strony także coś dołożyć, czy to się nazywa praca, czy zasługa, czy zresztą jakie wybitniejsze w społeczeństwie stanowisko, jeżeli się nie ma realnego majątku. Wiedział również o tem, że bez tej wkładki gorzknieje chleb żony, a często nawet można się wyśmienicie otruć.

Był to człowiek przypadkiem więcej wykształcony i delikatniejszego uczucia. Nie mógł znieść tej myśli, że niezasłużenie je chleb żony. Przemyśliwał długo nad tem, czem mógłby majątek żony zrównoważyć, ale nie znalazł w sobie żadnego talentu. Nie mógł zostać żadnym prezesem, bo towarzystw wtedy żadnych nie było; nie mógł nawet starać się o tytuł marszałka powiatowego, bo takich tytułów także wtedy jeszcze nie było.

Sposób jednak zrównoważenia majątku żony był bardzo łatwy, gdyż stanowił główny powód dzisiejszego jego położenia. Gdy się nad tem bliżej zastanowił, przekonał się, że majętna dziewica tylko dlatego oddała mu swoje serce, rękę i dochody miasta i czterech wsi, że na guzikach liberyi i na drzwiczkach karety mogła umieścić mitrę książęcą.

Wpadłszy raz na talizman swego szczęścia, postanowił pan Albert zużytkować go, co się dało. Dobrej w gruncie, ale próżnej kobiecie pochlebiało to wielce, że zarywała na księżnę. Mówię „zarywała“, bo księżną nigdy jej nie nazywano, a nawet służbie tylko używanie „jasna pani“ nakazano.

Wykrywszy tę słabość w małżonce swojej pan Albert, chciał ją zupełnie uszczęśliwić jako małżonek kochający, i w tym celu wywiózł ją za granicę.

Tytuł książęcy jakoś między swymi nie uchodził, a tytuł „kniazia“ wcale nie był we zwyczaju. Za granicą jednak zaraz w pierwszym hotelu powitano ich tytułem książęcym, a pani Albertowa aż pokraśniała z radości, gdy ją odźwierny na tablicy gości hotelowych wyraźnie „*Madame la Princesse*“ białą kredą wypisał. Takie bowiem wrażenie we wszystkich hotelach sprawiała mitra umieszczona na kufrach podróżnych.

Pani Albertowa była teraz zupełnie szczęśliwa. Do szczęścia nic jej nie brakowało; kochała swego męża całym zapałem kobiety, bo ten mąż uczynił ją księżną!

Porobiono stosowne do tego znajomości, a że dostatki były, więc i znajomości były liczne i serdeczne, jak to się łatwo wydarza za granicą.

Widząc uniżoność swoich dostojnych gości, pan Albert uwierzył sam w swój tytuł książęcy, i tak się roskoszą tego uczucia upoił, że zdawało mu się, iż do posagu żony swojej wniósł ze swojej strony ekwiwalent tego posagu i z nią zupełnie się zrównał. Poczciwa kobieta wierzyła temu rachunkowi i kochała go jak bohaterka.

Po niejakim czasie spostrzegł jednak pan Albert, że taki rachunek tylko za granicą upragniony rezultat przynosi. W kraju staje się on fałszywym. Na kartach wizytowych nie można wyraźnie drukować: książę lub księżna, bo to byłoby śmiesznością, a nawet nikt ze znajomych tego tytułu nie użyje mówiąc do niego albo do żony. Urojone więc szczęście żony byłoby w kraju narażone na rozczarowanie, a on ze swojej strony straciłby wkładkę do jej posagu, i zwichnąłby tym sposobem równowagę małżeńską.

Zbyt delikatnych uczuć, aby kochającą kobietę wymarzonego szczęścia pozbawiać, postanowił pan Albert przebywać za granicą, jak tylko mógł, najdłużej.

Uszczęśliwiona małżonka odpłacała mu to szczęście najżywszą miłością, a do swoich znajomych pisywała długie listy, w których opisywała zaszczyty, spotykające ich za granicą od rodzin najznakomitszych.

Tym sposobem się stało, ze Adelaida urodziła się w Rzymie, ochrzczoną została w Paryżu, a w Dreznie rozpoczęła swoję edukacyą.

Za książęcy jednak tytuł, za liberyą książęcą trzeba

było drogo płacić. Trzeba było prowadzić dom książęcy i w odpowiedni sposób gości przyjmować. Ponieważ jednak za przyswojony tytuł więcej się płaci, niżeli za rzeczywisty, więc dochody posagowe nie wyrównywały wysokim procentom, jakich żądał tytuł książęcy.

Pan Albert widział to, ale nie miał odwagi szczęśliwej kobiety rozczarować. Ukrywał przed nią, jak mógł, upadek fortuny i nie dopuścił, aby jaka wiadomość przedwczesna zasępiła piękne czoło ukochanej Taidy Anuncyaty.

Gdy spostrzegł pierwsze niebezpieczeństwo, zaturbował się nie mało, myślał bardzo wiele, ale żonie nic nie powiedział. Nie wymyślił żadnego sposobu, który mógłby go wydobyć z przepaści, w którą już był po części się usunął. Tytuł książęcy przeszkadzał mu do korzystania z nadarzających się okoliczności, a chociaż wpływem swoim zarobionym wiele drugim pomagał, sam nie poważył się sięgnąć po jakąbądź korzyść.

Gnębiąca myśl ruiny wzbudziła w jego głowie plan dosyć fantastyczny przyjścia kiedyś do wielkiej fortuny. Przestrzegając zawsze sumiennie arystokratycznych nałogów i szlachetnych namiętności, prawdziwej arystokracyi właściwych, postanowił zająć się zbieraniem galeryi obrazów w nadziei, że pomiędzy staremi gratami odkryje tym sposobem kiedyś Rafaela, Rubensa, Van-Dyka lub przynajmniej Pawła Weronczyka, i bez wielkiej pracy przyjdzie do sum bajecznych.

Pomysł ten miał nawet pewne pozory manii czysto arystokratycznej, chociaż w gruncie był prostą spekulacyą na zarobek. Utytułowanemu człowiekowi nie wypadało jakoś brać się do jakiejś pracy osobistej, a zbieranie galeryi obrazów nie tylko że za zwykłą pracę nie uchodziło, ale nawet dodawało mu pewnego arystokratycznego blasku w kołach znajomych.

Wiadomo, jak za granicą podobną słabość umią antykwaryusze i handlarze obrazów zużytkować. Jest oddzielny rodzaj artystów, którzy takim handlarzom służy i dla nich stare obrazy fabrykuje.

Zaraz w pierwszych miesiącach zarzucono pana Alberta stosami Rubensów i Rafaelów, nie mówiąc już o mierniejszych geniuszach lub takich antykach, do których należał Łukasz z Leiden i Cranach.

Pan Albert sprawił sobie podręcznik malarstwa, zaprzyjaźnił się z kilkoma artystami, których hojnie raczył u siebie, i z tą pomocą zbierał galeryę.

Nie wiedział biedny pan Albert, że to była spekulacya najniebezpieczniejsza, kosztująca najwięcej pieniędzy.

Zrazu zdawało się panu Albertowi, że to wszystko nie wiele kosztuje. Pierwsze obrazy, które mu jako antyki przynoszono, płacił po kilka, po kilkanaście talarów. Była to wędka, którą chwytał niebaczny. Wyobraźnia łudziła go nieustannie odkryciem Rafaela lub Rubensa, marzył o tem i śnił po całych nocach, aż wreszcie stało się to nałogiem i namiętnością.

Namiętność tę podsycała coraz więcej rozpacz, jaką czuł na widok upadku majątkowego. Jak gracz namiętny, chcący się odegrać, rzucał coraz więcej złota na stawkę, coraz więcej płacił za wypłowiałe płótna.

Pani Albertowa nie wiedziała o prawdziwych powodach tej manii arystokratycznej swego męża. Szlachetna namiętność pana Alberta wydawała się jej bardzo pięknym przymiotem arystokraty czystej krwi.

Pani Albertowa była arystokratką czystej krwi. Odziedziczywszy po rodzicach nazwisko historyczne, wierzyła, że to nazwisko ją obowiązuje. Nie umiała tylko przenieść tych obowiązków na właściwe pole.

Wychowanie zrodziło w niej żądzę aureoli arystokratycznej, a ponieważ tej aureoli w kraju mieć nie mogła, przeniosła się za granicę i tam żyła.

Pole więc pięknych i szlachetnych uczynków, jakiemi objawia się prawdziwa arystokracya, było dla niej zamknięte. Umiała jednak jakoś odłączyć praktykę od teoryi, a zostawiając pierwszą odłogiem, trzymała się silnie drugiej.

W teoryi więc widziała jasno niektóre dodatnie strony arystokracyi i w nie z całym zapałem wierzyła. Gdyby nie słabość męża, byłaby nawet może i do kraju wróciła, i te dodatnie strony swoich zasad nader korzystnie dla kraju spożytkowała. Ale w takim stanie rzeczy nie pozostało jej nic innego, jak teoryą swoję w nieskazitelnej czystości przelać na swoję jedynaczkę.

W takich warunkach wychowywała się Adelaida. Przedewszystkiem wpajała w nią matka dodatnie zasady arystokracyi i kreśliła jej drogi, jakiemi iść powinna. Przedewszystkiem zaprawiała ją do hartu własnych przekonań, chociażby te przekonania cały świat miały przeciw sobie. Mianowicie zwracała jej uwagę na tak zwaną opinią publiczną, którą wystawiała jej jako niewiastę zbyt chwiejną. Gdyby przekonania jej były dobre, a taż opinia inaczej się oświadczała, wtedy kazała jej lekceważyć tę frynę uliczną i swoją drogą iść dalej do celu.

W ten sposób młoda Adelaida uczyła się już wcześnie nie zważać wiele na to, co inni mówią, jeżeli jej przekonanie wewnętrzne ją uspokajało.

Podobała jej się również nauka matki, że ludzie zrodzeni w wyższych sferach muszą przewodzić społeczeństwu. Dla tego nie powinni nigdy z tych wyższych sfer schodzić niżej, pod klątwą utraty prawdziwego klejnotu.

Ta dodatnia strona idei arystokratycznej bardzo podobała się Adelaidzie, i wcześnie wkorzeniła się w jej duszę piękną i z natury do dobrego pochopną.

Idąc za przykładem dawnych rodzin arystokratycznych, matka Adelaidy postanowiła razem z córką swoją, równym sumptem wydatków i uczuć macierzyńskich wychować jaką biedną sierotę ze swoich poddanych.

Miała ona być nieodłączną towarzyszką Adelaidy, razem z nią róść, a uczyć się i bawić. Widziała w tem korzyść rozwijania się umysłu i uczuć jedynaczki, pewną emulacyą w nauce i zachowaniu się.

Przyznać należy, że założenia swego dopełniła pani Albertowa sumiennie. Wziąwszy za towarzyszkę dla Adelaidy córkę ekonoma Burskiego, nie czyniła między niemi żadnej różnicy, kochała je, ubierała i edukowała jak dwie rodzone córki swoje.

Mistrz Darvin, który właśnie wtedy przemyśliwał nad ewolucyą gatunków zwierząt i uszlachetnieniem się tychże aż do człowieka, byłby w córce ekonoma miał pyszny egzemplarz dla swego dowodu.

Olga bowiem, wzięta dzieckiem z ekonomskiej izby, przystosowała się (jak mówią Darwiniści) do nowych warunków życia, i wychowaniem co do zewnętrznych pozorów stała się damą sfery arystokratycznej.

Zdrowy jej organizm zniósł nawet więcej nauki i wydał plon obfitszy.

Olga nietylko umiała tańczyć jak sylfida, nie tylko w całej postaci miała ten ruch swobodny i naturalny, jaki cechuje damy arystokratyczne; nie tylko mówiła najpiękniejszym francuskim akcentem, ale nawet grała i spiewała po mistrzowsku i malowała wcale nie źle.

Zdrowa, wesoła jej dusza używała całą piersią słonecznego życia, nie wracając prawie nigdy choćby wspomnieniem do ciemnej ekonomskiej izdebki. Na wspomnienia bowiem nie było czasu śród nauki i zabaw towarzyskich.

Wspomnienie ojca nachodziło ją wprawdzie czasem, ale tego ojca wyidealizowała sobie do tego stopnia, że prawdziwa postać jego znikła jej z przed oczu.

Gdy pani Albertowa do kraju wróciła, miała Olga już wtedy lat siedmnaście. Pani Albertowa wracała do kraju wiedziona jakimś dziwnym przeczuciem. Nie umiała tego przeczucia bliżej określić, ale wiedziała, że było smutne. Być może, że o ruinie majątku coś się dowiedziała, być może, że sam pan Albert dłużej nie chciał lub nie mógł żyć księciem za granicą i to dał jej poznać. Dosyć, że pani Albertowa wróciła do swego rodzinnego gniazda.

Czekało ją tu bolesne rozczarowanie. Wsie i folwarki już poszły na życie za granicą, został tylko rodzinny jej pałac z tytułem dziedzictwa miasta powiatowego, które to dziedzictwo wyłącznie i jedynie opierało się — na prawie propinacyi!

Gdy pani Albertowa w tej nowej sytuacyi się rozpatrzyła, zbladła i położyła się do łóżka. Arystokratyczna jej teorya, którą w takim blasku zawsze widziała, była teraz srodze skompromitowaną. Cały jej byt opierał się teraz na prawie propinacyi.

Podwaliną więc i fundamentem, na którym opierał się jej byt w społeczeństwie, była wódka!.. a podtrzymujący symbol przewodnictwa w narodzie byli — pijacy!..

Taki widok rzeczy zasmucił srogo słabą, ale poczciwą w gruncie kobietę. Był to cios wprost w jej teoryą wymierzony, takiego ciosu przeżyć nie mogła.

Cicho i bez skargi zamknęła usta i zamilkła na wieki.. trzymając skostniałą rękę na głowie Adelaidy.

Pan Albert po śmierci żony został w kraju. Prowadził dalej swoję manią zbierania obrazów. Jak gracz namiętny, który zrazu rzuca na stół gry stawki tysięczne, potem zniżając je wedle sił swoich coraz niżej, dochodzi do tego, że wkońcu z brudnego węzełka dobywa grosza i na loteryą liczbową go stawia: tak pan Albert rozpoczął od obrazów, których mu zagraniczni artyści nasyłali, a skończył teraz na starych malowidłach, które mu żydkowie z miasta powiatowego znosili, wypróżniając szynki i bawarye.

I teraz jeszcze z taką samą namiętnością i nadzieją siedział pan Albert nad podartem płótnem, za które żydkowi dał dwadzieścia groszy, jak ongi przed pseudo-Rubensem, za którego zapłacił pięćset talarów! I teraz jeszcze spodziewał się, że dziś jutro odkryje monogram Rafaela lub Van-Dyka na płótnie dwudziesto-groszowem!

Powrót Olgi do kraju nie był także bez pewnych rozczarowań. Chociaż przez całą drogę biło jej serce do ojca, którego po latach kilkunastu obaczyć a nawet prawie dopiero poznać miała, gdy jednak w jedwabnej, szeleszczącej sukni wpadła do izdebki ekonomskiej i nie tylko ręce ale nawet i nogi starego, od pracy pokrzywionego Burskiego ucałowała, cofnęła się po pierwszem wrażeniu o półkroku od ojca, doznając jakiegoś posępnego i bardzo bolesnego uczucia.

Od tego czasu minęło sześć lat, a pierwszym gościem w pałacu, oprócz miejscowego proboszcza, żydków i antykwaryuszów, był Edmund.

ROZDZIAŁ IV.

Późną nocą wrócił Edmund do swego dworku. Oczekiwał go tam Mirski, jeneralny jego plenipotent, ekonom i minister rolnictwa, jak go żartobliwie nazywał.

Mirski był zachmurzony, a skoro służba na spoczynek odeszła, ozwał się do Edmunda w te słowa:

— Obawiam się, aby plany nasze i marzenia, o których tak często z sobą rozmawialiśmy, nie utknęły tutaj na jakim kamieniu podwodnym. Przynajmniej o ciebie obawiam się, aby ten stary pałac nie stał się Kapuą dla naszego Hannibala! Pocztylion straszył cię już diabłem malowanym, który tam ma mieszkać, a ja sądzę, że jeżeli tam nie ma diabła malowanego, ale jest żywy, to pewnie nam co zmaluje!

Edmund uśmiechnął się jak mógł najobojętniej, ale uczuł natychmiast, że się uśmiecha z przymusem.

Wziął to poprostu tylko za zmęczenie.

— Malowanego diabła widziałem — rzekł po chwili — chociaż widziałem go tylko w odbiciu, ale nic mi się nie stało.

Tu opowiedział Mirskiemu, jak przez drzwi otwarte widział w zwierciedle prawdopodobnie obraz wystawiający diabła, zkąd w sąsiedztwie urosła wieść, o której wspomniał pocztylion.

Mirski słuchał w milczeniu, ale na to nic nie odpowiedział. Potem zwrócił rozmowę na pałac, dopytywał się o jego mieszkańców, a gdy Edmund o kobietach mówił, wpatrywał się w niego z uwagą.

W końcu przeszli do rozmowy, która przedewszystkiem umysł ich zaprzątała, a rozmowa tu wyrugowała wkrótce z ich pamięci to, o czem na wstępie mówili.

Po odejściu Mirskiego Edmund zbliżył się do swego łoża, które teraz trochę lepiej niżeli wczoraj wyglądało. Nastka znalazła na strychu stare łóżko, i wysłała je świeżem sianem.

Edmund z pewną ochotą zabierał się do łóżka, bo czuł się zmęczony. Zdawało mu się, że sen pokrzepi go i wróci mu dawne siły i swobodę umysłu.

Wkrótce jednak poznał, że ciało nie potrzebowało fizycznego wypoczynku, że zmęczenie jego miało inny utajony powód, którego prędko nie mógł się domacać. Przewracał się z boku na bok, zasłaniał kołdrą oczy, aby światło nocy księżycowej do snu mu nie przeszkadzało, ale wszystko na darmo. Sen uciekał od niego, a za to cisnęły mu się przed oczy obrazy dni ostatnich, pomiędzy któremi na pierwszym planie występowali zawsze mieszkańcy pałacu.

Z długiej rozmowy, jaką prowadził z tymi mieszkańcami, dowiedział się mniej więcej o położeniu tychże, a wyobraźnia jego wykończyła teraz ich portrety.

Najprzód sam pałac stary przybierał teraz jakieś kształty dziwnie fantastyczne. Miał on być zbudowany przez jeńców tatarskich. Edmund wyobrażał sobie tych robotników dzikich, jak kopią ziemię i znoszą kamienie. Potem przechodził dawnych mieszkańców, jednego po drugim, widział ich otoczonych zbytkami, aż wreszcie zaszedł do pana Albeyta w wytartym surducie, siedzącego nad starem płótnem i z namiętnością zbankrutowanego szulera szukającego monogramów Rubensa.

Dziwny był to obraz tego człowieka. Obszerne komnaty zaległo ubóstwo, mieszkańcom było już w tych komnatach za przestrono, oni chcieliby wyjść z tych komnat do małych izdebek, byle im na to pozwoliła ich tradycya nieubłagana.

Do losu starca przykuta była dziewica niezwykłej urody, osamotniona, od świata odgrodzona, jakby w grobie żywcem zamurowana!

Rozbudzona wyobraźnia malowała mu ją powabnemi kolorami, stawiała w pozach uroczych. Widział te duże, ciemne oczy, jak błyskały wyrazem dumy królewskiej, podziwiał to śnieżne, okrągłe ramię, które wznosiło się przy każdym głębszem oddéchu, jak biały łabędź wznosi się na niespokojnej fali. A gdy jeszcze do tego dodał ten uśmiech czarujący, który nie wzruszał, ale olśniewał i do pokłonu wzywał, wtedy uczuł w swojej piersi niepokój i musiał na drugi bok się przewrócić.

Z poza tej postaci królewskiej patrzały na niego duże szafirowe oczy drugiej kobiety, która dobrowolnie podzielała to smutne więzienie, wyzłacając je najpiękniejszą poezyą duszy swojej.

Cała ta grupa była dziwnie malownicza. Na pierwszym jednak planie, oświecona jasnem światłem, stała Adelaida w złotej, królewskiej koronie, ale wilgotne jej oczy mówiły mu, że ta złota korona ma ciernie u dołu i że te ciernie mocno ją ranią. Nawet zdjęła przed nim tę koronę, czego przed nikim nie uczyniła, i okazała mu rany swoje!

Edmund przypominał sobie każde słowo jej skargi, powtarzał je w duszy i pytał sam siebie, co mogło być powodem, że tę skargę tajemną przed nim wynurzyła? Wprawdzie był jej bliskim krewnym, był po sześciu latach pierwszym gościem, z którym otwarcie mówić mogła, ale to wszystko nie tłumaczyło mu jeszcze tego dziwnego wrażenia, jakiemu obecnie podlegał.

Nie zakochał się przecież tak odrazu, bo o miłości miał inne wyobrażenie, ale przecież coś tam odbywało się w jego duszy, czego nazwać i zrozumieć nie umiał.

Gdy rano po krótkiem śnie Mirski go zbudził i z ironicznym uśmiechem o roskoszne sny zapytał, Edmund wyparł się wszystkich snów jak najuroczyściej, twierdził, że o pałacu nawet nie pomyślał, i tak zacięcie bronił się przeciw wszelkiemu podejrzeniu, że sam w końcu sobie uwierzył.

Wyszedł do gospodarstwa z Mirskim, obchodził z nim pola i lasy, i tak mu już było swobodnie w duszy, jakby rzeczywiście już o wszystkiem zapomniał.

Na nieszczęście przy obiedzie ktoś wspomniał o pałacu, a licho weszło znowu do głowy. Mirski znowu dogadywał, potrzeba było się bronić, wypierać, a nawet w zapale wymknęło się: słowo honoru.

Nad wieczorem, gdy Mirski do miasta odjechał, jak wszystkim ogłosił, w interesach gospodarstwa, Edmund poczuł wielką ochotę przejechać się do pałacu.

Rozmowa z kobietami pałacu miała dla niego tyle powabu, folwark był tak pusty i samotny... ale przypomniał sobie Mirskiego i „słowo honoru", i przymusił się widocznie, aby zostać w domu.

W ten sposób zeszedł jeden, drugi i trzeci dzień. Czwartego dnia wspomniał coś Mirski o drzewie, jakiego w lasach folwarku nie było, a w lasach sąsiada znajdował się pod dostatkiem; Edmund pochwycił prędko tę kwestyą, dowodził usilnie, że tego drzewa bardzo prędko potrzeba, i za kilka chwil kazał konie zaprzęgnąć.

Gdy jechał przez głęboki parów, nie myślał wcale o drzewie, ale myślał o Adelaidzie, i po raz pierwszy wysnuł z tych myśli, że Adelaida prawdopodobnie zaczyna go kochać.

Gdy to dwa razy sobie półgłosem powiedział, uwierzył, że tak jest w istocie, i że przeto ma pewne obowiązki dla kochającej go kobiety.

Były to myśli szybkie, przelotne jak błyskawice, nie można nawet było tego nazwać myślami, tylko jakiemś sennem marzeniem, które z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. Mimo to stan taki duszy zajmował Edmunda i sprawiał mu wielką przyjemność.

Wszedłszy raz na ten tór, snuł dalej pajęczą nić tego wątku, jak to się zwykle dzieje. Adelaida kocha go, kocha niezawodnie, marzy o nim, gniewa się, że tak długo nie był, jej oczy mówią mu tyle, ach tyle... Jakże jest szczęśliwy, jakże mu serce bije!... A on był tak niewdzięczny, tak nieczuły!...

Tutaj zajechał wózek przed ganek.

Adelaida była z Olgą w ogrodzie i zdawała się go oczekiwać. I rzeczywiście oczekiwała go, bo miała mu coś powiedzieć.

Olga spostrzegła, że Adelaida po pierwszej wizycie kuzynka dziwnie się zmieniła. Sprawiło to smutek Oldze, ale nie zwierzyła się z nim przed towarzyszką.

Rozmowa z kuzynkiem wpłynęła rzeczywiście na chwilowe usposobienie Adelaidy. Aby temu nie zaprzeczyć, trzeba ją poznać, jaką właśnie była w tej chwili.

Sześć lat upłynęło od śmierci matki, a cały czas ten przepędziła Adelaida w zupełnem odosobnieniu. Była to zbyt nagła zmiana, zbyt dotkliwe przejście od życia wielkomiastowego, od zbytku do ubóstwa.

Bystry umysł Adelaidy objął nagle całą tragiczność położenia. Widziała ona w tym względzie dalej od ojca, który wzrok miał zasłoniony Rubensowemi mrzonkami.

Boleść wielka rozdarła pierś Adelaidy. Cała teorya jej wychowania straciła nagle grunt, na którym oprzeć się miała. Pozostała jej tylko ta nadzieja, że mogła świetnie pójść za mąż i dawny lustr domu nanowo odświeżyć.

Aby jednak świetnie pójść za mąż, potrzeba się świetnie światu okazać, potrzeba wyjechać na szerszą arenę życia, słowem potrzeba majątku, pieniędzy.

Tych zaś nie było, a natomiast była z każdym dniem coraz większa nędza.

Adelaida z rozpaczą w sercu patrzała nieraz, jak cała służba pałacu czekała niecierpliwie starego Burskiego, który do miasta pojechał, aby od żydka za sprzedaną furę drzewa pieniądze odebrać i za nie żywności na dzień dzisiejszy kupić.

Była księżniczka zaciskała usta z bolu na taki widok, a z piersi zbolałej wyrywał się wtedy okrzyk: bogactwa, bogactwa... koniecznie bogactwa! bo bez niego jesteśmy mniej niż żebrakami.

Teorya arystokracyi była rzeczywiście w bardzo złym stanie. Przewodzić nie było komu, a kupić sobie satelitów nie było za co. Nie mogąc więc wyższości swojej nad zwykłymi śmiertelnikami zewnętrznie okazać, to jest nie mogąc świata olśnąć ostentacyjnem życiem, cofnięto się w więzienne komnaty pałacu i zerwano zupełnie z światem otaczającym.

Pan Albert czekał wytrwale, aż znajdzie Rafaela lub Holbeina, ale czego czekała Adelaida?

Adelaida czekała, ale sama nie wiedziała, czego. Wprawdzie wykwintna jej wyobraźnia karmiła ją samemi exotycznemi barwami, ale barw takich blisko niej nie było.

Kobieta wielkiego świata ucisza codziennemi fraszkami każdą głośniejszą strunę serca lub duszy, gdy za głosem tej struny iść nie może lub nie chce.

Długa jednak samotność równa wszystkie kobiety tego świata, bo odbiera im fraszki, któremi się zabijają.

W osamotnieniu serce śmielej się odzywa, a często nawet odnosi zwycięstwo nad mrzonkami głowy.

Adelaida żyła sześć lat w osamotnieniu; czyż podobna, aby w tym czasie rozbolałe serce nie ozwało się zwykłem kobiecem pragnieniem, nie zażądało od niej wzruszeń, jakiemi każda kobieta żyje?..

Ale przez sześć lat nie widziała Adelaida nikogo, którýby mógł sprawić takie wzruszenie serca. Edmund był pierwszym mężczyzną, którego w tym czasie obaczyła, i z którym dłużej rozmawiać mogła...

Zdaje się, że mimo wszelkich teoryi życia, jakie sobie przyswoiła, rozmowa z Edmundem zbudziła w niej kobietę, jaką jest i była od stworzenia świata.

Adelaida po odejściu kuzynka długo w nocy spać nie mogła. Czuła, że jej serce mocniej bije, ale nie uwierzyła, aby Edmund temu był winien.

— To rozdrażnienie — mówiła do siebie — nic więcej. Mówiłam o naszem smutnem położeniu, ubóstwie... ach, on jest także ubogi!... Gdyby on był bogaty...

I odwróciła się od światła księżycowego, aby się jak najprędzej uspokoić.

Uspokojenie jednak nie przychodziło tak łatwo. Nie przyszło nawet i nazajutrz, gdy kilku żydków o jakiś dług drobny upominało się, a w pałacu nie było ani złamanego szeląga!

— Ubóstwo, ubóstwo nasze jest największem naszem nieszczęściem, i to mnie tak rozdrażnia — mówiła do siebie, biorąc na szyję sznur pereł orleańskich i zakładając na palce pierścienie z brylantami — dlaczego dopuścił Bóg na nas tak wielkie ubóstwo...

Serce biło jej ciągle niespokojnie. Chciała ten niepokój gdzieś za sobą zostawić, chciała się z nim rozstać, chociażby z jaką ofiarą.

Wyszła do ogrodu pomiędzy drzewa i kwiaty. Ale drzewa i kwiaty, owe arcydzieła ręki Boga, który także i kobietę stworzył, powiększały jeszcze bardziej ten niepokój serca, tę dziwną strunę, która tam ozwała się tak nagle.

Adelaida uciekła z ogrodu.

Weszła do pokoiku, w którym mieszkała i umarła jej matka. Tu jeszcze gorzej było. Niepokój serca wzmógł się i rzucał jej przed oczy jakieś dziwne, tak dziwne obrazy!..

Z pokoju matki przeszła do sali tak zwanej rycerskiej. W tej sali wisiały portrety antenatów, same twarze wąsate, w zbrojach i złotolitych kontuszach. Ludzie ci szli niegdyś na czele społeczeństwa, mieli w narodzie znaczenie i zachowanie, pałace, zamki i dostatki.

Adelaida szła od jednego do drugiego, a serce jej zaczęło trochę uspokajać się. Było jej jakoś lepiej i lżej w tem towarzystwie ludzi z żelaza i złota.

Czwartego dnia, gdy Edmund z wózka zeskoczył i do ogrodu wraz z swemi marzeniami dążył, miała Adelaida twarz spokojną, jakby z białego marmuru wykutą. Koło niej jak młody aniołek z zwiniętemi skrzydełkami postępowała Olga.

Gdy Edmund się przybliżył, podała mu Adelaida spokojnie rączkę alabastrową; Olga zrywała tymczasem kwiatki.

Edmund patrzał z uwagą na Adelaidę. Jej twarz była posągowo piękna, ale też i posągowo zimna. Nie było w niej ani śladu wzruszenia, o jakiem marzył Edmund przez całą drogę.

— Folwark mój — rzekł śród rozmowy z wyrazem niekontentowania — zaczyna mi być nieznośnym! Czy wierzysz kuzynko temu?

— Wierzę — odpowiedziała spokojnie Adelaida — a nawet mam dla ciebie już gotową radę. Ożeń się.

— Ożenić się? — powtórzył ciekawie Edmund.

— Tak jest, ożenić się, bogato! — zimno wyrzekła Adelaida.

— Bogato?

— Bogato, jak tylko można! Brylanty nasze potrzebują złotej, grubej oprawy!

Gdy Adelaida te słowa wymawiała, miała twarz uśmiechniętą, a na ustach jakąś piosnkę wesołą.

— Jabym dała panu inną radę — ozwała się Olga z kwiatkiem w ręku, uśmiechając się naiwnie.

— Jaką radę? — z cierpkim uśmiechem zapytał Edmund.

— Niech się pan zakocha! — cicho wyszepnęła Olga, i zaczęła z kwiatka listki obrywać.

— Jeżeli ten dziurawy obraz nie będzie Holbeinem, to już w stare obrazy przestanę wierzyć! — ozwał się nagle za nimi głos niespodziewany.

Wszyscy obejrzeli się z przestrachu.

Był to pan Albert w wytartym oliwkowym surducie, który uśmiechając się do swoich marzeń, zapomniał nawet przywitać się z gościem swoim.

Na szczęście Edmund tego nie spostrzegł.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Znaczenie owadów w życiu nas otaczającem.

(Dokończenie)

Koń ma jeden żołądek, owady mają często trzy. U pierwszego żołądek zajmuje bardzo ograniczoną część ciała; u drugiego żołądek jest niekiedy tak wielki, że owad wygląda zupełnie jak wózek trawiący, przenoszący się z miejsca na miejsce. U niektórych w żołądku znajduje się rodzaj ząbków rogowych, któremi owad mieli wszystko, co unikło działania szczęk. Siła trawienia owadów jest taka, że niektóre gąsienice zjadają codziennie trzy i cztery razy tyle, ile waży ich ciało. Gdyby słonie lub nosorożce jadły tyle i były tak rozpowszechnione na ziemi, to w bardzo krótkim czasie znikłaby cała roślinność.

Pierwsze chwile życia owadu są poświęcone rozwojowi i karmieniu się. Dojrzały wiek zdaje się nie mieć innego celu, jak odradzanie się w potomstwie; czasami wtedy nawet kanał pokarmowy zakrywa się, i zwierzątko nie przyjmuje żadnego pożywienia. Gąsienica ze strasznemi swemi szczękami, niszcząca nasze plony, zmienia się w motylka, którego niewinna trąbka ssie tylko nektar kwiatowy; cały system trawienia w nim znika.

Niektóre owady ssące mają przyrząd ssania nadzwyczajnie ciekawy. Pyszczek ich jest uzbrojony rurkowatym dzióbkiem, zwróconym na dół, w środku dzióbka znajdują się cztery sztyleciki, ząbkowane przy wierzchołku, któremi owad przebija skórę zwierząt albo naczynia roślin. Sztyleciki te poruszając się w dzióbku jak stemple w pompie, wciągają soki roślinne lub zwierzęce. Komar więc pije krew naszę nie ssąc ją, lecz pompując.

Serce nasze, którego budowę wszyscy podziwiamy, jest tylko bardzo pospolitą ssąco-tłoczącą pompą w porównaniu z sercem owadów. Dwa szerokie otwory, zakryte klapkami służącemi dla powstrzymania wracającej nazad krwi, jest to wszystko, co działa w naszym centralnym organie krą-

żenia. Jeżeli za pomocą słonecznego mikroskopu odbijemy na ścianę zawartość ciała motylka, obaczymy cudowny widok krążenia krwi jego. Serce tu zastępuje podłużny kanał, blizko grzbietowej części ciała leżący i wykonujący kolejne ruchy ściskania się i rozszerzania. Żywiąca ciecz idzie do niego jak ruczaiki do rzeki przez ośm lub dziesięć bocznych otworków, opatrzonych klapami, które się otwierają i zamykają, pozwalając wejść cieczy i chroniąc ją od wypływania. W wnętrzu tego wydłużonego serca, większe klapy, w ilości sześciu do ośmiu, przylegają do ścian, dozwalając krwi płynąć naprzód, i zamykając się potem, żeby przeszkodzić jej powrotowi. Z serca idą pętelkowate naczynia do wszystkich członków. Krew owadów jest wodnista i bezbarwna.

U człowieka i u większych zwierząt powietrze przy oddechaniu wchodzi przez nos i gębą do płuc. Owady zaś oddechają mnóstwem otworków, zwanych przetchlinkami. Jest ich zazwyczaj para na górnej powierzchni, przy boku każdego pierścienia. Powietrze wchodzi do ciała owadów zupełnie oczyszczone; w tym celu przetchlinki są pokryte cieniutką podziurawioną błonką, podobną do sitka, na którem zatrzymują się wszystkie pyłki, latające w powietrzu. Niektóre owady mają przetchlinki poszyte drobniutkiemi włoskami, służącemi do tegoż samego celu. Bez tej opatrznościowej ostrożności, tchawice owadów niezmiernie delikatne i cienkie jak włosek, mogłyby się zanieczyścić pyłem, wśród którego latają.

Gdy owady mieszkają w wodzie, inny odmienny mechanizm nie przepuszcza wody w naczynia oddechów. Często około otworu ich znajduje się pięć lub sześć klapek, które jak drzwiczki otwierają się tylko wtedy, gdy zwierzątko wypływa na powierzchnię; kiedy zaś zagłębia się w wodę, drzwiczki te zamykają się bardzo szczelnie, jak to możemy widzieć u komara, w stanie gąsienicy żyjącego w wodzie.

U wielkich zwierząt powietrze wchodzi do płuc i tam się zatrzymuje. U owadów powietrze przenika ze wszystkich stron za pomocą mnóstwa kanałów, które się rozgałęziają następnie i wchodzą we wszystkie części ciała aż do wąsików i do nóżek. Tchawice, mające kolor perłowej macicy, mimo nadzwyczajnej swej delikatności składają się jeszcze z trzech błonek, z których średnia jak i u nas jest chrząstkowata.

Nie ma zapewnie osoby, któraby nie widziała białego robaka, żyjącego w stojących wodach rowów. Robak ten jest to gąsienica muchy i posiada długi ogon, który mu służy za organ oddychania. W nim znajdują się dwie rurki, prowadzące powietrze do wszystkich części ciała. Rurki te są otoczone drugą parą rurek większego rozmiaru, w których pierwsze poruszają się zupełnie tak jak części lunety. Gąsienica ta, nie mająca żadnego organu do pływania, za pomocą tego dowcipnego przyrządu może ciągle mieć otwarty organ oddechania, trzymając go nad powierzchnią wody; bo gdy tej jest mało, rurki wchodzą jedna w drugą, a otwór skręca się spiralnie; jeżeli przeciwnie spadnie deszcz i bardzo znacznie powiększy ilość wody, rurki wyciągają się tak, że ich otwór zawsze pozostaje nad powierzchnią. Jeżeli włożycie taką gąsienicę do szklanki, w którą nalano trochę wody, i zaczniecie dolewać płynu, ogon natychmiast wyciągnie się i wydłuży niezmiernie, zachowując ciągle otwór oddechowy nad powierzchnią wody.

Spustoszenia, które robią owady w roślinności, objaśniają się niesłychaną ich płodnością, która do tego stopnia wydaje się bajeczną, że wielu ludzi wyobrażało sobie, że owady pochodzą z samopowstawania. Leuwenhoeck obliczył, że jedna mucha może wydać w trzy miesiące 746.496 małych, co było powodem słów Linneusza, że trzy muchy zjedzą ścierwo konia równie prędko jak lew. Jermity przedstawiają płodność jeszcze większą; ich brzuch napełnia się taką ilością jajek, iż staje się trzydzieści tysięcy razy większym niż w zwykłym stanie. Jermity składają do 80 tysięcy jaj dziennie. Według obliczenia R. Owena jedna mszyca w dziesiątem pokoleniu wyda trylion małych.

Jaja owadów można dobrze zbadać tylko przez powiększające szkło. Są one zwykle sferoidalne lub podługowate, u niektórych motyli walcowate; jaja komarów są to dzbaneczki mikroskopijne. Są też jaja mające na końcu jednym rodzaj drobnych kolców, inne są podobne do małego garnuszka z pokrywką, którą podejmuje młody owad wychodząc na świat. Tę ostatnią formę ma jaje wszy, do której czujemy tyle odrazy; pokrywka nadzwyczajnie dokładnie zakrywa cały otwór i jest umocowana na zawiasce. Jeszcze ciekawszym jest mechanizm urządzenia jaj niektórych pluskw leśnych; w środku jaja znajduje się sprężynka, która odkrywa otwór, skoro owad już dojrzeje, tak że mu nic nie pozostaje, jak wyjść na świat bez żadnego trudu. Powierzchnia jaj często jest pięknie pobrużdżoną, lub składa się z drobnych płaszczyzn; są i takie, które wyglądają, jakby były pokryte najcudowniejszej roboty koronką. Jedne jaja są błękitne, drugie czerwone, trzecie zielone, niektóre wyglądają, jak gdyby zrobione były z perłowej macicy; jednem słowem, przyroda użyła najpiękniejszych swych farb na ich upiększenie.

Rodzaje owadów przedstawiają także wiele ciekawych szczegółów. Nie tylko są między niemi samce i samice, lecz są owady żyjące w towarzystwach, które posiadają rodzaj nijaki. Owady tego rodzaju są to albo robotnicy, którym mała ta społeczność zawdzięcza siłę i byt, lub też mężni żołnierze. Te osobniki wreszcie, które można poznać po ich postaci lub uzbrojeniu, są to tylko nierozwinięte samki. Pszczoły dobrze wiedzą o tem same i korzystają z tego, jak potem obaczymy.

W 400 setną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika.



Mikołaj Kopernik,
ojciec astronoma.



Mikołaj Kopernik,
astronom.



Wojciech Kopernóg,
ostatni, żyjący potomek tej rodziny.

Również godnem uwagi zjawieniem, którego przyczyny nie docieklismy jeszcze, jest wydawanie światła przez niektóre owady. Świętojański robaczek przedstawia nam dobrze znany przykład. Jego samiec jest skrzydlaty i nie świeci, ale samica, która skrzydeł nie ma, i którą bardzo często widzieć można pomiędzy krzakami w ciepłe noce lata, rozpościera nader żywe fosforyczne światełko. U innego gatunku świetlika, we Włoszech i we Francyi mieszkającego, osobniki obojga płci są skrzydlate i świecące. Ale ta osobliwa własność najwyraźniej się okazuje w pewnych sprężykach gorącej Ameryki, które latając w ciemności najpiękniejszą naturalną illuminacyą sprawiają. Kobiety stroją niemi głowy, a mieszkańcy używają do oświecania pokoi lub drogi, gdy w nocy idą. U naszych świetlików światło pochodzi z niektórych plam na wierzchu dwóch albo trzech ostatnich pierścieni ciała, gdy tymczasem u sprężyków wydają je podobnież plamy na głowie i piersi. Zdaje się, że owad może według woli natężać to forforyczne oświecanie.

Nauka nie objaśniła dotychczas przyczyny ubarwienia lub charakteru wydzielin u owadów. Zkąd naprzykład koszenilla z Nepalu, karmiąc się zielonym sokiem kaktusów, wyrabia ten przepyszny kolor czerwony?

Cerambyx moszusowy wydaje woń róży; całe powietrze około wierzby, na której się znajduje, napełnione jest tym zapachem. Lecz liście tegoż drzewa karmią i śmierdzącą pluskwę. Czyż z tego samego pokarmu pierwszy może wyciągnąć najmilsze essencye, a drugi tylko płyny woni odrażającej?

Pszczoły wydzielają z siebie miękki wosk jedną częścią ciała, a drugą ostry palący płyn, a jednak i miód i truciznę swoję pszczoła zbiera z jednych kwiatów.

Kantarydy zmieniają niewinne soki jesionu, którym się karmią, na bardzo silną truciznę, znaną od bardzo już dawna.

Co jest tego przyczyną, przyszłość nam zaledwo na pewno odpowie.

Dr. J. Stella-Sawicki.

W 400setną rocznicę urodzin
MIKOŁAJA KOPERNIKA.

Ziomku! którego sławę głoski kreślą
Wieczyście lśniące u przyrody pował;
Któryś je odgadł wyzwoloną myślą
I wraz duchowi ludzkiemu zhołdował;
Któryś przesądów moc i czarnoksięstwo
Złamał — i prawdzie wiecznej dał zwycięstwo:
Twej nieśmiertelnej, o Mistrzu! pamięci
Polska cześć święci!

Polska! — O, pomnisz tej Pani z nad Wisły,
Coć była wrażeń i dumań kolebą!
Polska — pod której to skrzydłem wytrysły
Natchnienia Twoje, co przejrzały niebo;
Ta matka orłów, ta siostra światłości,
Oczy dziś zwraca ku nieśmiertelności
I Twą pamięcią, Synu Jej wybrany,
Krzepi swe rany!

O! boś Ty niby ów wódz starożytny,
Boskie śród świata rozważając dzieło,
Kazał stać słońcu w swobodzie błękitnej
Nim lud zwycięstwo skończy — i stanęło!
Więc Polsce Twojej — matce Twego ludu —
Świeci Twa prawda śród klęsk i śród trudu,
Serc naszych Wiara w przyszłość w niej się mieści —
Z tej Wiary: cześć Ci!

Lwów, 19. lutego 1873.

Bronisław Komorowski.

ROCZNICE HISTORYCZNE.

II.

Urodziny Mikołaja Kopernika, 19. lutego 1473.

Przed czterema właśnie wiekami z nadwiślańskiego miasta Torunia wystrzelił wedle słów Voltair'a ów promień boskiego światła, co blaskiem swoim do dnia dzisiejszego świat cały oświeca...

Astronomia, ta królowa nauk matematycznych, miała znaleźć w genialnym Toruńczyku długo oczekiwanego mesyasza, który w ściśle naukowej formie, z niezbitemi argumentami w ręku, dowiódł tego, co jakoby instynktem w czasach zamierzchłej starożytności przeczuwali Nicetas, Filolaus, Lokrus, Arystarch z wyspy Samos i Hipparch.

Mimo tak ogromnej zasługi w sto lat po śmierci doczekał się Kopernik pierwszej króciuchnej biografii, napisanej przez Gassendego na podstawie wiadomości, zaczerpniętych z listów Retyka, Dantyszka, Gizyusza i innych; naszemu dopiero wiekowi danem było w należyty sposób oddać mu cześć, gruntownemi rozprawami określić dokładnie tak pod względem naukowym, jak historycznym, stanowisko wielkiego człowieka.

W ostatnich paru latach, w przeddzień niemal czterowiekowego jubileuszu, rozbudził się u nas niezwykły zapał do śledzenia za szczegółami życia astronoma, i tej to pięknej dążności zawdzięczamy nie mały zasób cennych materyałów, nagromadzonych starannie przez ks. Polkowskiego, dra Wołyńskiego i innych.

Z ich dzieł, które się w każdym polskim domu znajdować powinne, dowiedzą się czytelnicy o wszystkiem, co tylko Kopernika dotyczy, a czego nam tu w najkrótszem nawet streszczeniu powtarzać niewolno, tak ze względu na szczupłość miejsca, jak i na to, że tenże sam przedmiot stanowił już treść artykułu, zamieszczonego w czwartym zeszycie S t r z e c h y z r. 1869.

To też w niniejszym obrazku pozostaje nam tylko podać objaśnienie do rycin i przedstawić czytelnikom jeden epizod z życia Kopernika, szerszemu ogółowi mniej dotąd znany, a rzucający nader jaskrawe i charakterystyczne światło na stosunek Kopernika do tej właśnie narodowości, która wbrew najoczywistszym dowodom śmie go sobie dotychczas przywłaszczać.

Szczegół ten podajemy wedle Gassendego, a w opracowaniu Figuier'a [1]), przedstawienie więc rzeczy ze strony cudzoziemca powinnoby nas uwolnić zupełnie od zarzutu stronniczości.

W r. 1510 został Kopernik kanonikiem we Frauenburgu, miasteczku położonem nad Wisłą, a przywróconem znów Polsce od r. 1454 na mocy traktatu toruńskiego.

Do godności kanonika wzdychali podówczas wszyscy uczeni księża dla pozyskania tak potrzebnego przy pracy spokoju i łatwego sposobu życia: „*otium cum dignitate.*"

Ale Kopernik nie znalazł na nieszczęście we Frauenburgu ani spokojnego ustronia, ani wolnej myśli, której pragnął tak gorąco.

Panował wówczas w części Prus burzliwy, religijno-wojowniczy zakon, pomawiany o życie z łupów i rozboju, zakon krzyżacki. Był on postrachem dla miast sąsiednich, zakłócał nieustannie spokojność publiczną i prześladował mieszkańców. Nieukrócone mnichy nie uszanowały nawet cichego ustronia naszego kanonika, a ilekroć się na nich skarżył, zaprzeczali faktom lub odpowiadali oszczerstwem. Mieli oni tyle bezczelności, że najechawszy jego własność, oskarzali go jeszcze w pewnym pamflecie przed władzą poznańską, jakoby on sam ich zaczepiał. Dla pozyskania sprawiedliwości musiał wuj Kopernika, biskup warmiński, śmiertelny wróg Niemców, senator i patryota polski, musiał, mówię, użyć całego wpływu swego.

Roku 1513 zostawszy administratorem osierociałej zgonem Fabiana de Lusianis dyecezyi, postanowił Kopernik odzyskać zagrabioną przez zakon część dóbr kościelnych. Sam napadany przez krzyżaków, wiedział nasz astronom dobrze, z jak potężnymi i zdradzieckimi ludźmi miał do czynienia; siła charakteru i nieugiętość woli nie dozwoliły mu przecież cofnąć się przed tem, co za swój obowiązek uważał. Udawszy się zatem do Zygmunta I. otrzymał od niego upoważnienie do poszukiwania własności na drodze prawnej.

Po długich staraniach i zabiegach ze strony kanonika musiał skazany zakon wydać owe dobra kościelne. Do żywego przegraniem procesu dotknięte, butne krzyżactwo, obsypywało go odtąd coraz zuchwalszemi obelgami i groźbami, które przecież nie zdołały zmienić jego postanowień. Na sejmie w Grudziądzu ważyła się wówczas ważna sprawa, dotycząca fałszowania monety. Rzemiosło to w średnich wiekach dostarczało znacznych dochodów niektórym państwom, w Polsce zaś do takich rozmiarów doszła owa plaga, że kupcy zagraniczni tylko za sztaby czystego złota lub srebra wymieniali swoje produkta. Główną przyczyną

[1]) Vie des savants illustres de la renaissance avec l'appreciation sommaire de leurs travaux. Paris 1868.

anarchii monetarnej w Polsce był przywilej bicia monety, przysługujący kilku miastom pruskim.

Korzystając z tego chytry zakon, puszczał do Polski monetę zawierającą więcej miedzi niż srebra, co Polskę w oczach kupieckich coraz więcej dyskredytowało. Ze wszech stron podnoszono skargi na to nadużycie, położenie stawało się coraz nieznośniejszem, trzeba więc było określić bliżej prawdziwe powody i narzędzia fałszerstwa, i wskazać środki zapobiegające nadal podobnemu bezprawiu.

W takiej to kwestyi miał Kopernik zabierać głos przed zjazdem w Grudziądzu. Uczony kanonik w mowie swojej dotarłszy do samego źródła złego, wylicza cały szereg nadużyć, oraz wykazuje niebezpieczeństwo, grożące z tej strony Polsce wogóle, Prusom zaś w szczególności; w końcu dla przywrócenia dawnego zaufania, ustalenia kredytu i ocalenia od upadku handlu i przemysłu proponuje zniesienie przywileju, nadanego Toruniowi, Elblągowi i Gdańsku, a wyznaczenie jednego tylko miasta, w którem by bito pieniądze wedle ściśle oznaczonych praw i pod opieką króla polskiego. W tym celu wypadałoby wycofawszy z obiegu dawną monetę, zastąpić ją świeżo bitemi pieniądzmi, nakazać Litwie, Polsce, Prusom i wszystkim innym od króla zależnym ziemiom, używanie w przemysłowych i kupieckich stosunkach monety narodowej, dającej rękojmię odzyskania utraconego zaufania i uczynienia zadość tak potrzebom osób prywatnych, jako też całego kraju.



Dom rodzinny M. Kopernika w Toruniu.

Proponowana przez Kopernika reforma była jasną, prostą i nader zbawienne skutki zapowiadającą; wprowadzeniu jej przecież w czyn stanął na przeszkodzie konserwatyzm, obstający za nienaruszalnością przywilejów, bo nie każdy umiał się wznieść do tej bezinteresowności, co Kopernik, który składał przysługujące prowincyi pruskiej prawa na ołtarzu dobra publicznego i wspólnej ojczyzny. To też skończyło się na honorowem złożeniu memoryału Kopernika do archiwów grudziądzkich...

Tymczasem rosła ciągle nienawiść krzyżaków do uczonego kanonika, którego patryotyczne usiłowania były im solą w oku. Savérien [1]) donosi, że już go nawet oskarzyli o zbyteczne oddawanie się naukom, z uszczerbkiem dla obowiązków duchownych. Chcąc pozbawić Kopernika powszechnego szacunku, rozsiewali „panowie pruscy“ pogłoski, mające na celu wystawić go na pośmiewisko tłumów. Mnichy niemieckie opłacali kuglarzy i włóczących się od miasta do miasta komedyantów, polecając im na deskach teatralnych przedstawiać parodyą Kopernika. Im więcej osoba „astronoma-lunatyka“ wyglądała dziwacznie i śmiesznie, tem więcej ciemne o grubych żądzach pospólstwo okazywało swe zadowolenie wybuchami śmiechu i poderczemi oklaskami.

Komedyanci występowali wszędzie, nawet tuż obok domu Kopernika, z niesłychanem powodzeniem. Przyjaciele astronoma nalegali nań, ażeby przeszkodził tak bezwstydnym widowiskom. — „Niech czynią, jak im się podoba“ — odpowiadał Kopernik. — „Nigdym się nie ubiegał o względy tłumów; tego bowiem, nad czem ja pracuję, nie rozumieją tłumy, ja zaś nie starałem się poznać tego, coby się im spodobać mogło.“

Załączone trzy ryciny, przedstawiające samego astronoma (w środku), ojca jego i wreszcie żyjącego do dzisiejszego dnia Wojciecha Kopernika alias Kopernoga, są jednym więcej dowodem polskości Kopernika.

Mikołaj, ojciec astronoma, nietylko był Polakiem, lecz nawet mieszkańcem i obywatelem Krakowa, zkąd dopiero około r. 1458, w kilka lat po zrzuceniu przez Prusy krzyżackiego jarzma, osiedlił się w Toruniu.

[1]) Histoire des philosophes modernes. V. 87.

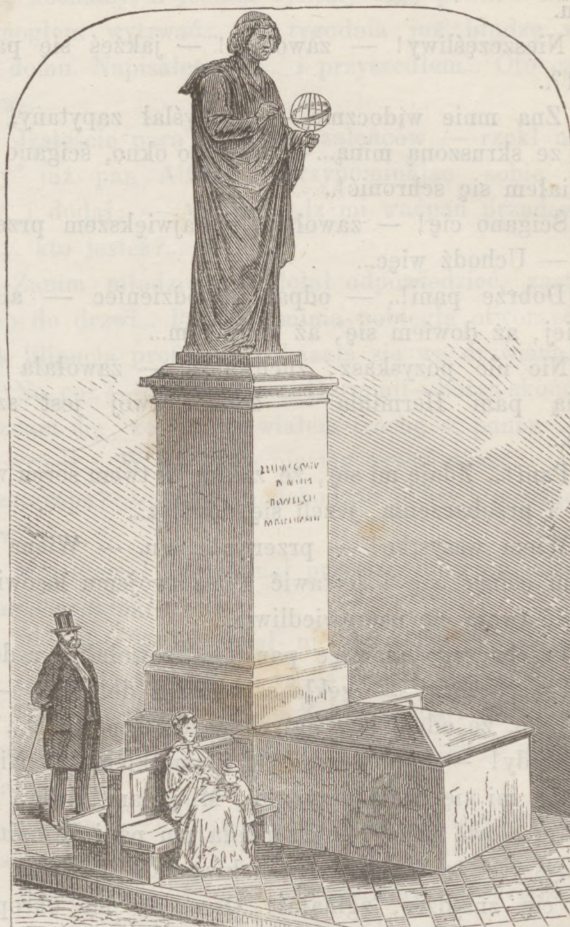
Gniazdem rodziny Koperników, zanim się do Krakowa przeniosła, był polski Szląsk, gdzie pod rządami Piastów, w XIII. wieku w księstwie grotkowskiem, na południe od miasta Nissy założono osadę, wspominaną u Stencla począwszy od r. 1272, pod nazwą: Kopernik.

Ostatni potomek familii, wsławionej tak przez wielkiego Mikołaja, bezdzietny, siedmdziesięcioletni wdowiec, Wojciech Kopernóg, żyje dotąd w należących do kapituły krakowskiej dobrach pabianickich, we wsi Łaskowicach. Już Adryan Krzyżanowski pisał, że w XVII. wieku mieszkała tu rodzina Koperników, co potwierdziły poszukiwania w aktach kościelnych miejscowego proboszcza, księdza Romana Szlosmana, którego sprawozdanie zamieszczone w warszawskim „Przeglądzie katolickim" kończy się następnemi słowy: „Wojciech Kopernóg, zapytany przezemnie w obecności kilku ludzi, czy pamięta ojca, a może i dziadka swego, nie wiedząc w jakim celu pytam go o to, odrzekł, że znał dobrze dziadka swego, bo już miał z górą lat 20, kiedy on umarł. Tenże dziadek, Marek, opowiadał często, że w Toruniu urodził się, zamieszkał i umarł Kopernóg z ich familii, który był człowiekiem uczonym i znanym w świecie. (Oczywiście mówił tu o astronomie, Mikołaju Koperniku). I w końcu dodał, że dziadek jego, Marek, oświadczył to dzieciom i wnukom, że to od ojca i dziadka swego słyszał."

Ks. Kanonik Polkowski słuszne ztąd wysnuwa wnioski, że tradycya familijna, przechowana w rodzinie Koperników aż do dziś żyjącego Wojciecha, ważnym jest dowodem, dotyczącym polskiej narodowości astronoma; że nazwisko, aczkolwiek pisane raz Kopernik, gdzieindziej Kopernok lub Kopernóg, zawsze znaczyło jednę i tęż samę rodzinę— że żyjący Kopernik ma podobne rysy twarzy do ojca astronoma i do samego Kopernika.

Nie bez interesu więc dla ogółu będzie porównanie wizerunku astronona i ojca jego z ostatnim potomkiem męzkiej linii Kopernika, którego rysy podajemy tu wedle fotografii Zonera.

Prócz trzech Koperników dołączamy w niniejszym zeszycie dwie inne ryciny, przedstawiające dom i pomnik astronoma w mieście Toruniu. Kl.



Pomnik M. Kopernika w Toruniu.

Ktoby się spodziewał!

HUMORESKA.

Napisał Władysław Ordon.

(DOKOŃCZENIE)

W tej chwili zatętniły żywe kroki... To pani Herminia.. wystrzałem i wrzaskami przerażona, biegła dowiedzieć się, co się stało. Zaledwo Zosia miała czas cofnąć się do swego pokoiku, drzwi się otwarły, i pani Herminisię pokazała...

Na widok stojącego z pokorną miną młodzieńca, przerażona kobieta zatrzymała się przy drzwiach skamieniała.. Tysiące myśli naraz przebiegło jej przez głowę. Potępiając i opłakując szaleństwo tego człowieka, nie mogła jednak wstrzymać się od mimowolnego uznania rycerskiej jego brawury. Było to najsubtelniejsze pochlebstwo, jakie spotkało ją kiedykolwiek w życiu...

Zresztą pierwszy raz także spotkała się z istotnym zamachem na swoję cnotę. To też położenie to nowe dla niej budziło w jej duszy roskoszne jakieś pomieszanie wrażeń, i trwogę i radość i oburzenie i tryumf ukryty. Na

usta jej cisnęły się pełne zgrozy słowa, czoło się marszczyło, drżała na myśl o Alfredzie... a jednak... Straszliwa wrzawa za oknami i naglące niebezpieczeństwo zmusiły ją przecież do wyrwania się z tego słodkiego wewnętrznego chaosu.

— Nieszczęśliwy! — zawołała! — jakżeś się pan tu dostał?..

— Zna mnie widocznie — pomyślał zapytany, i odrzekł ze skruszoną miną...— Przez to okno, ścigano mnie, i musiałem się schronić!..

— Ścigano cię! — zawołała z największem przerażeniem — Uchodź więc...

— Dobrze pani!.. — odparł młodzieniec — ale nie pierwiej, aż dowiem się, aż pozyskam...

— Nic nie pozyskasz, zuchwalcze — zawołała z godnością pani Herminia — zamiar twój jest szaleństwem...

— Pani!... Zdaje mi się, że znajdę w twem sercu więcej litości i przebaczenia, jeżeli się dowiesz...

— Wiem wszystko! — przerwała mu. — Wiem i powinnam cofnąć się i zostawić Pana twojemu losowi; ale młodość twoja cię usprawiedliwia...

— Przebaczasz mi więc pani! — zawołał z radością.

— Przebaczam! — rzekła szybko i z dobrocią — pod warunkiem, że odejdziesz natychmiast i zapomnisz...

— Nigdy! — odparł z siłą i z smutkiem. — Nigdy... Na cóżby mi się życie przydało... Miej pani litość...

— Ani słowa więcej!—przerwała mu pani Herminia— Czy słyszysz te krzyki i poszukiwania? To mąż mój! Jeżeli cię znajdzie, zginąłeś! Oszczędź mi okropnego wyrzutu...

— Ależ pani! Mąż twój.. jeżeli ty się zgodzisz i zechcesz..

— Niech mnie Bóg broni! — odparła z godnością... Nigdy w życiu... Wyrzecz się tej nadziei...

— I zkąd ten okrutny wyrok?!

— Zbyt łagodny! — zawołała. — Kto pana ośmielił...

— Sądziłem, że mam wzajemność, jestem prawie pewny nawet...

— Ależ to obłęd! Panie...

— Być może! ale obłęd ten skończy się chyba z życiem mojem.

Tu zatętniły kroki przed gankiem... Pani Herminia zbladła, zachwiała się...

— Na miłość Boską, uciekaj pan! — zawołała — słyszysz, idą tutaj... Chroń się!

Obejrzała się wokoło z rozpaczą... Ach, z pokoju Zosi okno na drogę... jej pewnie nie ma!.. Tędy panie... ratuj się i zapomnij...

I pochwyciwszy osłupiałego młodzieńca, wepchnęła go do pokoju córki, zamknęła drzwi i drżąca cała cofnęła się do stolika, przy którym usiadła.

Drzwi otwarły się z trzaskiem. W nich pokazał się pan Alfred, ciągnący za sobą skowyczącego psa... W progu jeszcze rzekł do stojącego za drzwiami profesora trzęsącym się głosem...

— Wybacz kochany przyjacielu!.. Racz jeszcze raz z ludźmi przejrzeć ogród... Zostaw mnie na chwilę!

— Tylko bez szaleństw, Alfredzie—rzekł uspokajająco profesor.

Pan Alfred nic nie odpowiedział, tylko zatrzasnął drzwi, zamknął je na klucz i krokiem komandora w Don Juanie zbliżał się, ciągnąc za sobą psa... Pies, był to piękny wyżeł nakrapiany, z obróżą z lakierowanej skóry; obecnie mocno uszkodzony w łapę, którą mu zatrzask przyciął...

Pan Alfred nie mówiąc ani słowa, przyciągnął corpus delicti przed żonę, i niskim, hamowanym widocznie głosem rzekł do niej...

— Całe życie spodziewałem się tego, a jednak jestem jak rażony piorunem. Skończyło się.... Chciałaś pani, niech tak będzie! Rozstańmy się... Ale pierwej dowiedzieć się muszę, komu winienem hańbę moję.. Tu przestał i wzrok ponury zatopił w oczach żony...

— Milczysz — rzekł, tracąc pozorny spokój — cieszysz się zapewne, że uszedł gaszek rąk moich... ale nie tryumfuj. Z pod ziemi go wykopię!.. Okropnie się pomszczę, wyssę go jak pająk muchę! Drzazgi za paznogcie będę zabijał. W smole usmażę!

I egzaltując się własnemi słowy krzyczał z rosnącą wściekłością...

— Sądzisz, że nie mam poszlaków! Mam je!.. Ha! drżysz!... Widziałem go pod oknami mojemi w nocy w mieście.. Chodził jak złodziej.. Nie wierzyłem sobie. Ciesz się. Zdruzgotałaś moje szczęście... Ale ja ci twego gładyszka zdruzgocę...

— Alfredzie — zawołała z godnością p. Herminia! — nie rozumiem ciebie...

— Ach, nie rozumiesz mnie — odparł z gryzącą ironią — mąż staje się niewyraźnym... Mów — zawołał gromowym głosem — odpowiadaj: od jak dawna się widujecie... gdzie? kto wam pośredniczył...

— Szalejesz, Alfredzie, i obrażasz mnie — ze łkaniem odparła pani Herminia...

— Grasz rolę ofiary — zawołał, nie panując już nad sobą — hipokryzia i zdrada.. Ach tego już zanadto! O wściekłości!.. o zgrozo... I ten jeszcze uszedł mej ręki...

Tu zerwał się i kopnął warującego wyżła, i chwytając go za obrożę, podniósł do góry.

Pies wył i warczał.

— Tak zdepcę jego pana, tak go stratuję — zaryczał pan Alfred, tracąc miarę i biegając wściekle po pokoju...

Nagle stanął i skamieniał...

Biały, słomiany kapelusz młodziana leżał przed nim... pod oknem...

Okrutna radość odmalowała się na twarzy pana Alfreda... Porwał flintę, nabił ją nanowo i jednym skokiem rzucił się do drzwi żony...

— Nie ma go tam — zawołał wyskakując ze wściekłością...

— Tam być musi — jęknął wskazując na drzwi Zosi — amant żony w pokoju córki... Straszliwa kobieto... Smierć, śmierć! — i uderzył we drzwi pokoiku...

Uderzył i odskoczył...

Jak za czarodziejskiej laski dotknięciem drzwi się otworzyły, i w nich stanęli Zosia i nieznajomy młodzieniec z żałośnemi minami, ale widocznie zdecydowani i trzymając się za ręce.

— Co to znaczy? — krzyknął zbity z tropu, pieniący się jeszcze pan Alfred...

Pani Herminia rzuciła się półżywa na kanapkę, zasłaniając twarz...

— Szanowny Panie.., Ojcze — odpowiedziały dwa błagalne głosy, i para uklękła przed panem Alfredem...

— Wstawaj! — zawołał porywając Zosię za rękę osłupiały Otello... Kto jest ten...

— My się kochamy — odrzekł pokornie młodzieniec, występując naprzód...

— Kto w kim się kocha? gadaj mi pan zaraz — zawołał trzęsąc nim pan Alfred.

— Ja i panna Zofia...

Pani Herminia podniosła się z podziwieniem i zgrozą, jakby chcąc zaprotestować...

— Czyż nie tak? — dodał młodzieniec, obracając się do drżącego dziewczęcia...

— Tak, kochany ojcze — wyszeptała z rumieńcem...

Pani Herminia spojrzała z boleścią i wdzięcznością na dwoje dzieci...

— Poświęcili się dla mnie, szepnęła!...

Pan Alfred poszedł do stołu, zapalił lampę i poświecił nią w oczy młodemu człowiekowi.

— Ach, poznaję pana teraz — zawołał odsapnąwszy głęboko. — Więc to dla niej — wskazując na Zosię — włoczyłeś mi się pan pod oknami w mieście... dla niej ścigałeś nas aż tutaj, jak złodziej deptałeś nocą po ogrodzie?...

— Tak panie — odrzekł ze skruchą młodzieniec.

— I nie miałeś innego sposobu?! — zapytał z resztką podejrzenia pan Alfred...

— Niestety! — odrzekł młodzieniec — nie przyjmowałeś pan nikogo z młodzieży w domu...

— To prawda — odmruknął w pół przekonany pan Alfred. — Ale jak się zwąchałeś z tem ziółkiem — dodał wskazując na Zosię...

— Od sześciu miesięcy już się znamy — odpowiedział ośmielając się młodzieniec. — Poznałem córkę pańską na przechadzce, śledziłem ją aż do domu. Odtąd stałem się jej cieniem. W końcu zauważała mnie... Przychodziłem pod okna i słuchałem, jak gra Ständchen.. Czasami wyjrzała do mnie z okna... na przechadzce obejrzała się... Nie wiem, jak się to stało... nigdyśmy sobie nie powiedzieli, że się kochamy, a jednak byliśmy tego pewni.. W końcu nie mogłem wytrwać... Od tygodnia już błądzę wokoło tego domu. Napisałem list... i przyszedłem... Oto cała historya...

— Jesteście parą młodych szaleńców — rzekł udobruchany już pan Alfred.... przypominając sobie dawne czasy, i dodał: — Ale powiedz mi waćpan przedewszystkiem... kto jesteś?...

Zanim młodzieniec zdołał odpowiedzieć, zastukano mocno do drzwi... Pani Herminia pobiegła otworzyć... Figurka lilipucia profesora pokazała się we drzwiach...

— No cóż?—rzekł do pani Herminii—burza skończona... Przyznam się, że się obawiałem trochę o panią, i dlategom wrócił... W ogrodzie nie ma żywej duszy... Ale cóż to za grupa? — rzekł podchodząc bliżej i mrużąc oczy do światła...

— Mój ojciec! — szepnął przestraszony młodzieniec — A tom się złapał!..

— Henryk! — krzyknął nie dowierzając oczom i cofając się profesor: — A ty tu co robisz, urwisie!..

— Chce się żenić z moją Zosią—odparł parskając wesołym śmiechem pan Alfred. — Wszystko z miłości do celibatu.

— Co! on? — krzyknął gromowym głosem Oczko... On! Poszaleliście!..

— Bynajmniej!.. i jego to ścigaliśmy po ogrodzie! Ma szczęście, bo gdybym go był złapał!..

— Jakto — nie posiadając się ze złości zawołał Oczko do syna: — A list, a dziewczyna, a Wiedeń, hultaju..

— Jeden z moich kolegów wrzucił list z drogi do Wiednia na pocztę!.. Zmuszony byłem cię oszukać... Jestem tu od trzech dni — odparł Henryk pokornie...

— A, to tak! wyrodku!.. w najwyższej passyi wołał profesor. — Taki to owoc moich nauk? Chcesz się żenić, smarkaczu, chcesz się zabić, potworze?..

— Ależ ojcze! — błagająco chciał przerwać Henryk...

— Milcz! — wrzasnął Oczko. — Postąpiłeś sobie jak oszust, i to pod moim nosem, o wiorstę od mojego domu... O zgrozo!.. ale nic z tego nie będzie... ocalę cię mimo twojej woli... nigdy... nigdy... nie ożenisz się...

Od kilku chwil już Zosia przypatrywała się z uwagą i zadziwieniem obrączce na swoim palcu... Powoli pamięć przywiodła jej scenę z profesorem, i naraz zrobiło się jej jasno... Z filuternym uśmiechem zbliżyła się do spienionego i dotkniętego we wszystkich sentymentach pedagoga, ojca i niefortunnego swojego konkurenta...

— Kochany profesorze — rzekła z przymileniem do niego — po co się próżno taić i gniewać... Wprawdzie

rzecz inaczej się stała, aniżeliś myślał, ale w każdym razie, tak jak chciałeś...

— Jak ja chciałem? — żachnął się osłupiały professor..

— Wszakże sam prosiłeś mnie dzisiaj o rękę moję dla swego syna; miałeś potem prosić rodziców, a gdym się zgodziła, dałeś mi w jego imieniu...

— Ja?... dusząc się ze złości zapytał Oczko...

— Tak, ty — odrzekła jeszcze figlarniej, zbliżając się dziewczyna — dałeś mi ten oto pierścionek...

— Drogi ojcze! — zawołał w zachwycie, chwytając profesora rękę Henryk...

— Żmijka! — zasyczał ze wściekłem spojrzeniem Oczko, i czując się przyciśniętym do muru, z obawy śmieszności dodał: — No, to prawda... ale nie chciałem tak prędko rzeczy jemu oznajmić... a teraz chciałem go ukarać! W każdym razie i tak nauczę go cierpliwości! — dodał przez zęby.

— Och, my możemy poczekać! — zawołali z radością młodzi...

— Ktoby się spodziewał! — wykrzyknął dobrodusznie pan Alfred idąc do żony i ściskając ją... No, ktoby się spodziewał, duszko...

Pani Herminia westchnęła i spojrzała z uwielbieniem na Henryka, a ze współczuciem na męża...

Państwo Henrykowstwo mają dzisiaj już synaczka, który będzie głośno sylabizować tę humoreskę... Profesor wyrzekł się czernidła do wąsów, przestał nosić perukę, słowem zrezygnował z galanteryi... Pan Alfred codzień zazdrośniejszy... A pani Herminia jak dawniej czuła i wierna, tylko nie dałaby sobie niczem wybić z głowy, że dzieci dla ocalenia jej poświęciły się szlachetnie... Miała nawet skrupuł, czy korzystać z tej ofiary i pozwolić na ich połączenie!...

Zmieniona.

Tyś inną była — w twoich ócz lazurze
Całe się niebo kąpało odbite —
W uśmiechu wdzięcznym miałaś perły, róże —
W sercu płomienie — jak wulkan ukryte;
Tyś marmur ogrzać mogła piersi tętnem
I jednem tchnieniem w głazy wcielać życie,
Tyś ócz spojrzeniem — jak ogień namiętnem —
Mogła świat zwalczyć, i być panią w świecie.

Pamiętam, dawniej dziewicze natchnienie
Z miłością w duszy królowały społem,
Z piersi płynęło tak cudowne pienie,
Żem myślał często: „możeś ty aniołem!“
I gdyby nie to, żeś skrzydeł nie miała,
Ni aureoli u jasnego czoła,
Byłbym poprzysiągł, moja piękna, biała,
Żem ujrzał cudem bożego anioła

* * *

Dziś inną jesteś, a chociaż perkale
Zmieniłaś w drogie perskie aksamity,
Choć na twej piersi śmieją się korale,
To jednak w oku nie błyczczą błękity;
Wzrok ci twój przygasł, a na nikłej twarzy
Rozsiadł się stygmat widnego cierpienia,
Blady, jak lampa żałobnych ołtarzy,
Straszny, jak przeszłość bogata w złudzenia.

Tyś się zmieniła! czy ciebie co boli?
Stoisz jak martwa, zatopiona w sobie,
A pierś twa bije tak cicho, powoli,
Jakbyś myślała o otwartym grobie.
Zapał twój ostygł, na zmienionej skroni
Został ślad tylko, żeś ty piękną była,
A w twojej piersi, co westchnienia roni,
Zostało echo, że inaczej biła.

* * *

Odkryj twe serce! gdy się wyspowiada,
To serce mniej już cierpi o połowę!

. . . .

Ty milczysz? nie mów! może lilia blada,
Którą masz w dłoni, zwiesiłaby głowę...
Możebyś siebie występną nazwała,
Lub tak się wspomnień okryła żałobą,
Że nie wiedziałbym, pokutnico biała,
Czy płakać z tobą, czy płakać nad tobą!

1872. S. M. Witkowski.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, z końcem lutego 1873.

(Jubileusz Kopernikowy. — Pozory hucznego karnawału a brak ochoty w gruncie. — Dokąd nas wiedzie dyrekcya teatralna? — „Rabagas“ p. Sardou i „Dymitr“ Schillera. — Ostatnie nowe sztuki. — Pierwszy koncert Towarzystwa muzycznego).

Pod wrażeniem obchodu, jakim cała Polska czciła pamięć jednego z najdzielniejszych swych myślicieli, zaczynamy i tę kronikę od krótkiego opisania czytelnikom sposobu, w jaki w mieście naszem obchodzono jubileusz Kopernikowy. Zaznaczyć wypada przedewszystkiem, że tak senat wszechnicy lwowskiej, jak i Rada miejska delegowały reprezentantów do Torunia; jak się dowiadujemy jednak, ministerstwo wiedeńskie telegramem zabroniło będącemu już w drodze profesorowi Żmurce, występowania w Toruniu w charakterze reprezentanta wszechnicy lwowskiej — krok, spowodowany zapewne ową nieszczęsną „wyższą polityką“, tyle ulubioną przez gabinet naddunajski od dawna... Mniejsza zresztą o oficyalny charakter tam, gdzie do wspólnego stołu zasiadają obywatele jednegoż kraju, równemi uczuciami przejęci i jedną myślą: pokrzepienia patryotyzmu w wspomnieniu i poczczeniu genialnego ziomka swego.

Solennem nabożeństwem w katedrze, celebrowanem przez arcybiskupa wśród udziału całej kapituły, rozpoczęła się uroczystość, urządzona przez grono profesorów wszechnicy i techniki lwowskiej, a w której udział wzięli reprezentanci Sejmu, Wydziału krajowego i Miasta. Następnie w sali ratuszowej rektor wszechnicy, dr. Malecki, mową zapału pełną zagaił zebranie, zaczem profesor Zbrożek wygłosił rzecz o systemie Kopernikowym, a w końcu dwaj akademicy ody na cześć wielkiego astronoma, łacińską i polską. Ostatnia, znana powszechnie, pióra Osińskiego; łacińską pięknie ułożył profesor dr. Wróbel. Jednocześnie Towarzystwo rękodzielnicze „Gwiazda“, które nadzwyczaj pomyślnie się rozwija i ciągłe daje dowody swej żywotności, po nabożeństwie u Karmelitów, w lokalnościach swoich uroczyście obchodziło pamiątkę dnia, również odczytami i deklamacyą. Wieczorem całe miasto jaśniało tysiącami płomieni i licznemi transparentami, podczas gdy po przedmieściach odbywały się odczyty popularne o Koperniku, a w teatrze przedstawiano obraz Szymanowskiego „Ostatnie chwile Kopernika“, i Mickiewicza „Konfederatów Barskich.“ Nad wszelkie więc spodziewanie pięknie i poważnie wypadł u nas dzień ten, i na długo utrwalić powinien w umysłach pamięć wielkiego ziomka, który „wstrzymał słońce, wzruszył ziemię.“ To też panu E. Supińskiemu należy się przed innymi publiczne uznanie, że nie poszczędził wydatku na wydrukowanie własnym nakładem krótkiego życiorysu Kopernika i takowy rozdać kazał dziatwie szkolnej na pamiątkę obchodu.

Poważny dzień, o którym co jeno krótką zdaliśmy sprawę, dla umysłów był istotnie jakby oazą wśród owej pustyni, co od kilku tygodni zalegała publiczne sale lwowskie, a zwie się karnawałem. Zauważaliśmy bowiem, że więcej było u nas w tym roku sposobności zapustnej, więcej szumnych zapowiedzi i inwitacyi, komitetów balowych i kolosalnych afiszów, niż szczerej, wylanej ochoty do tańca lub maskarad. Ostatnie zwłaszcza kompletnie nie doznawały powodzenia w tym roku. Wieczorki kasynowe i domowe zabawy najwięcej podobno rozwijały ochoty; z balów najliczniej były uczęszczane dobroczynne.

Obok wyprawianych co drugi lub trzeci dzień na sali teatralnej maskarad, scena poszła na drugi plan, a repertoar ostatnich tygodni przekonywa, że dyrekcya mało dba o spełnienie swego zadania, przedewszystkiem interes kasy teatralnej mając na oku. Gdyby nie kilka przedstawień benefisowych, którym zawdzięczamy szereg sztuk poważniejszych, musielibyśmy zwątpić o tem, że sala Skarbkowska przeznaczona do czego innego oprócz „Heleny de la Segliere“ i „Księżnej Gerolstein.“ A już najmniej jest scena lwowska polską, oryginalne utwory bowiem na niej są rzadkością. Jako próbka staranności dyrekcyi w tej mierze stanie fakt, że dotąd nie postarano się o przedstawienie „Pozytywnych“ Narzymskiego, sztuki, która przed rokiem pierwszą otrzymała nagrodę na konkursie krakowskim, i którą przetłumaczyli już dla scen swych Moskale i Niemcy. Fredro Aleksander kiedy niekiedy błyśnie z afisza, zaś Korzeniowski, Fryderyk Skarbek, Kraszewski — nigdy, podczas gdy jednocześnie przedstawiane bywają tuzinkowe sztuki zaściankowych autorów niemieckich i francuskich w takiej obfitości, że wnosić można, z jaką to skwapliwością dyrekcya chwyta po księgarniach wszelkie nowości w tym rodzaju. Co gorsza: dostają się na scenę nawet utwory obce, wprost ubliżające uczuciom polskim, jak n. p. „Rabagas“ pana Sardou, przedstawiany niedawno, którą to sztukę wygwizdano na wszystkich niemal scenach francuskich, belgijskich i włoskich dlatego, że ubliża ona nadto uczuciom republikańskim, apoteozując demoralizujący wpływ drugiego cesarstwa we Francyi. Podobnież rzecz się ma z „Dymitrem Samozwańcem“ Schillera, dokończonym przez Laubego, którego dyrekcya umyślnie tłumaczyć dała dla sceny lwowskiej, by nas uraczyć... czem? Oto tem, iż w sztuce tej wyszydzoną jest die polnische Wirthschaft, i po partacku przedstawione wypadki i postacie dziejów naszych ojczystych! — A przecie są oryginalne sztuki historyczne: Felińskiego, Syrokomli, Odyńca, Szujskiego, Pillata i wielu innych, sztuki wiernie malujące historyą, z których wystawieniem jednak nie spieszno wcale dyrekcyi!

Z oryginalnych sztuk, po komedyi Wł. Sabowskiego „Pół miliona“, która jak najlepszego doznała przyjęcia ze strony publiczności, przedstawiono tylko „Annę Oświęcimównę“, dramat Antoniewicza, i „Bohdana Chmielnickiego“, dramat Wojciecha Dzieduszyckiego. „Oświęcimówna“ jest sztuką bardzo efektowną, więc jakkolwiek słabo przeprowadzona nie ze wszystkiem zaspokoi wymagań krytyki, ma warunki utrzymania się w repertuarzu. O dramacie p. W. Dzieduszyckiego „Chmielnickim“, przedstawionym na benefis pani Nowakowskiej, najrozmaitsze, a często wręcz sobie przeciwne spotykaliśmy sądy tak w czasopismach jak i publiczności, żaden jednak ani bez-

warunkowo nie odmówił talentu autorowi, ani pewnych warunków scenicznych sztuce; ponieważ zaś sami przeszkodzeni byliśmy wieczoru owego, kiedy przedstawiano „Chmielnickiego“, poprzestać musimy na tem ogólnikowem zreasumowaniu opinii o nim.

Pierwszy koncert Towarzystwa muzycznego, który odbył się przed dwoma tygodniami, odznaczał się programem i wykonaniem. Orkiestra tym razem, zwłaszcza w instrumentach smyczkowych, obsadzoną była mocniej niż kiedykolwiek, i tej to okoliczności przypisujemy mianowicie świetne przeprowadzenie Bacha „Preludium“ i „Fugi“ (g-moll), na orkiestrę ułożonych przez J. Aberta. Wspaniały koncert „drugi“ (b-dur) Beethovena odegrał z towarzyszeniem orkiestry na fortepianie p. A. Jarosławski, uczeń Towarzystwa, z nadzwyczajną miarą i pewnością, w miejscach zaś podniosłych z zapałem, któremu nikt ze słuchaczy oprzeć się nie zdołał. Pan Jarosławski zjednał sobie zasłużenie reputacyą jednego z najcelniejszych u nas wykonawców dzieł klassycznych. — Koncert, o którym mowa, urozmaicony został bardzo mile śpiewem solowym pana Borkowskiego, członka opery, mianowicie wzruszyła nas do głębi prześliczna piosnka Schumanna, „Dwaj grenadyerzy“, którą artysta odspiewał z nieporównaną werwą i uczuciem.

Szczupłość miejsca nie pozwala nam poszczególnie zdawać sprawy o wieczorkach Towarzystwa, które przecież tak pod względem treści swej jak i wykonania i udziału publiczności zasługiwałyby na to. Zaznaczymy więc tylko, że wieczorki te dały nam sposobność poznania kilku młodych talentów muzycznych w gronie uczniów Towarzystwa, i utrwaliły w przeświadczeniu, iż to ostatnie rozwija się pomyślnie, coraz liczniejsze gromadząc wokoło siebie siły.

B. K.

Drezno, z końcem lutego 1873.

(Łukaszewicz † — Jubileusz Kopernika. — Potrzeba wydania biblioteki klasyków polskich. — Starosta Kiślacki W. Pola. — Dzieło E. Prądzyńskiego: „O prawach kobiety.“ — Nowe prace naszych malarzy i zdanie Niemców o nich. — Muzeum Rapperswilskie).

Grzebiemy ciągle poległych na pobojowisku... Jest w tem coś prawdziwie, coby się fatalizmem nazwać mogło. Zdaje się, że przeznaczenie jakieś chce plac dla nowych pracowników oczyścić. Z Poznania tym razem dochodzi wiadomość o śmierci zasłużonego Łukaszewicza, autora Historyi szkół i braci wyznania Helweckiego, niegdyś czynnego razem z Poplińskim wydawcy i współpracownika Tygodnika literackiego i Orędownika. Skończył on życie poszukiwaniom dziejowym poświęcone, siedmdziesiąt-czteroletnie, zostawiając po sobie pamięć wszystkim drogą, bo i jako człowiek najszlachetniejszego charakteru cenionym był w społeczeństwie. Zapiszmy więc ten zgon do strat poniesionych w tych czasach, i rzućmy na mogiłę należny pracy wieniec. W chwili, gdy to piszemy, wspomnienie Kopernika jest na porządku dziennym... Parę dni temu obchodzono wszędzie rocznicę urodzin jego uroczyście, nawet w Warszawie. Najświetniejszym był obchód Toruński, któremu tylko brakło zapowiedzianego obrazu Matejki; posąg Brodzkiego nadszedł w porę. Profesorowie uniwersytetu warszawskiego, którzy mieli przybyć do Torunia, zapewne zważywszy, jak delikatną rzeczą było wybierać, czy z Niemcami czy z Polakami święcić mają rocznicę tę, wstrzymani zostali. Mnóstwo pism okazało się z tego powodu: Życie Kopernika przez ks. kanonika Polkowskiego, Kopernik w Italii przez Dr. A. Wołyńskiego, Kopernik przez Kowalczyka (Warszawa), życiorys tłumaczony z Flammariona, o Mikołaju Koperniku Dr. H. Skimborowicza (broszurka) itp. Oprócz tego Kłosy przyspieszyły wydanie numeru poświęconego w całości Kopernikowi, w którym się znajduje ogromny i bardzo piękny drzeworyt z rysunku Andriollego. Tygodnik ilustrowany zapowiedział także w następnych numerach rysunki stosowne. Chwalą też bardzo karton Gerson'a, wystawiony w tym dniu w Warszawie, który przedstawia wiek sławnego astronoma naszego... Medal, posąg, karton, obraz Matejki, książki wydawane ku czci Kopernika... uroczystości, są nowym dowodem żywotności narodu i nierozerwanego związku jego z przeszłością. Jestto symptom pocieszający; biada ludom, które kamionują proroków i dają mogiłom zasłużonych trawą porastać. Trochę tego współczucia i pamięci pragnęlibyśmy pozyskać i dla literatury naszej starej. Nudnem to być może, bo się z tem często powtarzam, a powtarzać muszę, dopóki to jakiego skutku nie weźmie... Nie mamy dotąd żadnego zbioru, prawdziwie odpowiadającego potrzebom, dawnych pisarzów naszych, począwszy od Reja i Kochanowskiego, do Kołłątaja i Śniadeckich. Związek z przeszłością dla nas jest najwyższej wagi. Wydania, jakie mamy, nie zaspokajają, ani pod względem poprawności, ani co do pełności... mnóstwo pism stało się niezmierną rzadkością, biblioteka naszych klasyków jest potrzebą, jest zadaniem chwili, jest obowiązkiem. Czyż się nie znajdzie nikt, coby pojął, że coś jest do zrobienia, i więcej i inaczej niż Turowski? Czyć żadne z naszych uczonych towarzystw nie zechce się podjąć tego przedsiębiórstwa, które umiejętnie wykonane byłoby pomnikiem przeszłości wzniesionym??

W. Pola Starosta Kiślacki już wyszedł wraz z dodanym doń jednym, czy nawet dwoma portretami zgasłego poety. Każą się nam też spodziewać i zupełnego wydania dzieł jego. W Warszawie nowością najświeższą, która się tylko co ukazała, jest Edwarda Prądzyńskiego rzecz „o prawach kobiety.“ Dla scharakteryzowania tej pracy dość będzie przytoczyć dedykacyą:

„Pracy bez zarobku, myśli bez rozwoju, woli bez czynu, zmarnowanym dobrym chęciom, oszpeconej piękności, wyzyskiwanej słabości, tęsknym pragnieniom, rzewnym nadziejom, niezasłużonym łzom, opuszczonej żonie, zdradzonej kochance, uwiedzionej dziewczynie: Kobiecie bolejącej — autor tę książkę poświęca.“

Książka jest piękna, przychodzi w porę, a autor jej sercem i myślą sprostał zadaniu, o ile ono dziś rozwiązanem już być może. Mówi w niej, jak i dlaczego stawia się zadanie równouprawnienia kobiety? Kreśli rys historyczny; określa wyzwolenie ekonomiczne kobiety, jej stanowisko w życiu społecznem i publicznem, w rodzinie, stosunek do mężczyzny, i kończy zapytaniem, a zarazem odpowiedzią, czego kobieta ma prawo domagać się od prawodawcy, a czego od obyczajów? Autor idąc za tymi, którzy w pełni uznają prawa kobiet, żąda dla nich „uznania w nich ludzkiej godności, uszanowania chęci i zdolności do szerszego zakresu pracy i wpływu, zatem: na-

dania jej wszystkich praw cywilnych, wstępu do urzędu i godności dla wyjątków nie obarczonych rodziną, a posiadających stwierdzone uzdolnienie, naostatek prawa wyborczego. Jeszcze kilka słów zakończenia, w których autor odpowiada na zarzut, iż prawa te, jakich się domaga, należałoby nadać kobiecie dopiero wówczas, gdy do używania ich przygotowaną zostanie. „Kiedy postęp zrywał kolejno wiekowe więzy niewoli, poddaństwa, kiedy burzył przywileje kast i korporacyi, wołano także i wtedy: oświećcie niewolnika, zanim mu wolność dacie! nauczcie włościanina szanować i pracą zdobywać własność, za nim go obdarzycie! uczyńcie z prawa nadgrodę osobistej zasługi, a nie zgubny przywilej ciemnoty, nędzy i moralnego rozpasania! Nie usłuchało społeczeństwo tych rad, pozorem słuszności łudzących, i dobrze uczyniło, bo ze wszystkich cywilizacyjnych narzędzi najpewniejszem jest własnie samodzielne praw pełnienie i niekrępowany życia rozwój. To samo dziś ponawia się względem kobiet; więc strzeżmy się i pamiętajmy, że kobietom należy się od społeczeństwa nie to, co pod zamgloną zasłoną zasługi komuś podsunąć się będzie podobało, ale że im się należy z tytułu ich człowieczeństwa pełnia praw człowieczych, praw, któreby im pozwoliły kształcić się i doskonalić i do rzetelnej dopiero dojść zasługi.“

Z tych małych zarysów łatwo ocenić stanowisko autora, którego książkę polecamy gorąco zajmującym się kwestyami społecznemi, a kwestya stanowiska kobiety jest bez wątpienia jedną z najważniejszych wieku naszego. Zdaje się ona mieścić w sobie zupełne może w przyszłości przeobrażenie stosunków społecznych, choćby dziś, w chwili przełomu, na pozór niemi zachwiać i groźnie się przeciw nim stawić miała. Nad każdą reformą, osobliwie taką, która ma wydać nowe i wielkie owoce, ludzkość długo i w pocie czoła pracować, oswajać się z nią, dobijać się jej musi.

Lecz może to już zapoważne do Strzechy?? Mówmy więc o czemś zabawniejszem... jeźli są jeszcze na świecie rzeczy zabawne, i jeźli bawić się mamy prawo i potrzebę.

Pisma niemieckie artystyczne wspominają o nowych trzech obrazkach Gierymskiego, które jak poprzedzające, powszechną zwracają uwagę: Odpoczynek przed karczmą, Alarm i Noc. Ostatni z nich ma być najprostszy ze wszystkich, i wystawia odosobioną chatę, oświeconą księżycem, do której zbliża się drogą wóz; oświecenie księżycowe ma być niezmiernej prawdy, tak, że niemiecki sprawozdawca powiada o niem: Der Mondschein ist nie wahrer gemalt worden. Wspominają także o dwóch obrazkach ziomka naszego p. A. Woleckiego. (?) Okolica pod zamkiem krakowskim, z oświeceniem porannem bardzo wdzięcznem, i „Motyw z pod Krakowa“, kilka chat wybornie odmalowanych, grunta i powietrze pełne prawdy. Wogóle artyści nasi w Monachium, stanowiący już pewną grupę, zarobili sobie na bardzo dobrą sławę i powszechnie są tu cenionymi; co tem większe ma znaczenie, iż sąd ogółu artystów tutejszych ma wysoką wartość. W południowych Niemczech to imię Polaka nieszczęśliwe, które w Berlinie uprzedzą źle i obudza niechęć, przeciwnie całkiem usposabia sympatycznie. Nie mamy też prawie artystów naszych w Berlinie, oprócz jednego ilustratora, który już nazwisko swe trochę skaleczył... Drezno przy dzisiejszym stanie Akademii od śmierci Schnorr'a bardzo pociągać ku sobie nie może, i nikomubyśmy nie życzyli tu przybywać dla wykształcenia, bo warunki jego są trudne, a artystyczne życie bardzo mało rozwinięte. Wszystko się niemal ogranicza kopiowaniem z galeryi dla sprzedaży, na której zyskują nie artyści, ale ci, co ich wypotrzebować umieją. Niemcy też wogóle produkują dzieł sztuki (jeźli się to tak nazwać godzi) daleko więcej, niż ich spotrzebowują. Corocznie ogromne masy wychodzą do Ameryki i do Anglii i na targi całego bożego świata. Ogólne jest narzekanie na zły odbyt... który się artystom czuć daje. Mało kto dziś zbiera, mało kto ma rzeczywiste znawstwo, a miernych za bezcen tyle się rzeczy sprzedaje, że najuboższy dom ma się czem przybrać.

Niezmierny panował tu popłoch z powodu rozszerzonej pogłoski o tem, że wiedeńska komisya wystawy, obdarzywszy Francyą ogromną przestrzenią, pokrzywdziła Niemcy, i wypchnęła ich w ciasny kąt na południe. Miano nawet mocne postanowienie wstrzymać się od wysłania niemieckich dzieł sztuki, jeżeliby pogłoska okazała się prawdziwą, i urządzić osobną wystawę w Monachium. Do tego jednak, jak się zdaje, nie przyjdzie i porozumienie nastąpi.

Spodziewany obraz Matejki „Kopernik“ nie nadszedł do Torunia, myśmy tu też nie oglądali Batorego w Dreźnie i nawet podobno nie był w Pradze. Czy go istotnie Węgry nabyły? nie wiemy; zazdrościm tylko Krakowowi, że go ogląda... Dokąd są przeznaczone Kopernik Matejki i Brodzkiego posąg, także jest dla nas tajemnicą. Mamy nadzieje, że dla kraju zachowane zostaną.

Muzeum Rapperswylskie coraz nowemi nabytkami się pomnaża, jak nam ztamtąd piszą, więcej darami obcych niż rodaków. Hr. Chambord w liście do hr. Platera wyrażając swe współczucie, pisze: „Z religijną czcią zachowując w sercu pamięć ojczyzny, której jestem pozbawiony, pojmuję łatwo wszystkie uczucia wasze.“ Z równą sympatyą oświadczą się Garibaldi. Z Irlandyi, ze Stanów zjednoczonych płyną dary i gorące wyrazy. Pani Walter Coot miała tam napisać poemat, który wkrótce ogłosi, pod tytułem „The Martyred Nation“. Potwierdza się z najlepszego źródła, że istotnie znaczny bardzo zapis uczyniono na kształcenie polskiej młodzieży. Testament nieznanego z imienia dobroczyńcy znajduje się w ręku hr. Platera. Być może, iż instytut na tych funduszach oparty, połączy się kiedyś z Muzeum w Rapperswylu, lecz to jest tylko naszym domysłem... W dzisiejszych czasach taka ofiara, to coś prawie cudownego... Nie zgasł więc jeszcze zupełnie, stary duch obywatelskiej Polski...

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Czas to pieniądze!) Pewnego poranku, gdy Benjamin Franklin był właśnie zajęty przygotowaniem swojego dziennika do druku, wszedł jakiś młody próżniak do jego księgarni i bawił się prawie całą godzinę przeglądaniem książek i rycin. Wkońcu wziął do rąk jakąś książkę i zapytał subjekta o jej cenę.

— „Kosztuje dollara“ — odpowiedziano mu.

— „Dollara?“ — rzekł — „Nie możesz pan dać mi jej taniej?“

— „Nie, to stała cena.“

Może znowu z godzinę przerzucał próżniak książki, a potem zapytał:

— „Czy jest p. Franklin w domu?“

— „Jest. Znajduje się w drukarni.“

— „Chciałbym z nim mówić.“

Subjekt oznajmił Franklinowi, że jakiś jegomość jest w księgarni, który chce z nim mówić. Zaledwie Franklin wszedł do sklepu, próżniak przystępując do niego z tą samą książką zapytał:

— „Panie Franklin, jaka jest najniższa cena, za którą mógłbyś mi pan sprzedać tę książkę?“

— „Jeden i ćwierć dollara“ — odpowiedziano mu szybko.

— „Co? Jeden i ćwierć dollara? Przecież subjekt żąda tylko dollara!“

— „To prawda“ — rzekł Franklin — „ale byłbym więcej zarobił na tym dollarze wprzódy, niż teraz, gdym został oderwany od mojej pracy.“

Próżniak zmieszał się trochę, i żeby zakończyć tę sprawę, zapytał bardzo grzecznie:

— „Ależ chciej mi pan naprawdę powiedzieć, panie Franklin, jaka jest najniższa cena tej książki?“

— „Półtora dollara!“

— „Półtora dollara? Ależ panie Franklin, przecież ofiarowałeś mi ją pan sam za jednego i ćwierć dollara?“

— „Tak jest“ — rzekł Franklin — „ale byłbym wprzódy więcej zarobił na tej cenie, niż teraz po nowej stracie czasu.“

Próżniak poznawszy się na nauczce, zapłacił żądaną cenę i odszedł zawstydzony; Franklin zaś powrócił do drukarni.

(R z a d k a p r ó b a m i ł o ś c i). W czasie, gdy król francuzki, Franciszek I., prowadził wojnę we Włoszech, postradał jeden z jego kawalerów, młody, waleczny rycerz Beauregard serce, gdyż zakochał się w przecudnej piękności Włoszce, imieniem Aurelia, i oświadczył się jej z najszczerszą, gorącą miłością. Ale chociaż to oświadczenie pięknego, znakomitego rycerza pochlebiało nadobnej signorze i zdawało się ją uszczęśliwiać, nie mogła ona przecież zataić przed nim swego powątpiewania, gdyż lekkość i niestałość kawalerów francuzkich była już dobrze znaną w owych czasach. Miłość jednak rycerza była głęboka i serdeczna, i oświadczył on przeto, że gotów jest do wszelkiej próby, jakiejby żądała od niego dla doświadczenia jego wierności. Aurelia przystała na to, i przyrzekła rycerzowi serce i rękę, jeżeli przez 6 miesięcy nie przemówi do nikogo ani słowa. Kawaler poddał się tej próbie, i pożegnawszy niemym, pełnym znaczenia ukłonem damę swego serca, zamknął od tej chwili usta swoje dla całego świata. Powróciwszy do Paryża, zasmucił i przeraził wielce swoich krewnych i przyjaciół, gdyż wszyscy mniemali, że popadł w jakąś nieuleczoną chorobę, a ubolewano nad nim tem bardziej, że przedtem mistrzowski jego spiew i dowcip jednały mu wszystkie serca. Sprowadzano więc najsławniejszych lekarzy, ale Beauregard nie chciał ich widzieć; uśmiechał się rzadko kiedy, a życzenia swoje objawiał niememi znakami.

Tymczasem powrócił król z obozu do swojej wiernej stolicy i rzucił się w wir festynów i zabaw, ażeby wynagrodzić sobie trudy wojenne; ale i jego radość wielce się zmniejszyła, gdy się dowiedział o nieszczęściu, które dotknęło jego walecznego przyjaciela i ulubieńca. Posyłał do niego swoich własnych lekarzy, a pacyent dla miłości króla przyjmował gorzkie lekarstwa, ale naturalnie, bez wszelkiego skutku. Zwoływano na życzenie monarchy z całego świata szarletanów i czarowników wszelkiego rodzaju, którzy wówczas, tak jak i dziś, ogłaszali, że posiadają środki na wszelkie choroby i złe przygody, chociaż w istocie nikomu nie pomagali. Wieść o tem rozchodziła się coraz więcej, i wszelka nadzieja zdawała się być straconą, gdy oto pewnego dnia zgłosiła się na dworze królewskim piękna dziewica włoska, która udając, że jest wieszczką, podjęła się wyleczyć rycerza z jego słabości. Król, nie chcąc pominąć żadnej sposobności, która mogłaby przynieść ratunek jego ulubieńcowi, kazał wezwać go do dworu, i powitawszy go z czułością, opowiedział mu, że zgłosił się znowu jakiś lekarz, który obiecuje niezawodne wyleczenie jego.

Rycerz odpowiedział na tę wiadomość nizkim ukłonem z wyrazem niemej wątpliwości, a król skinął na piękną nieznajomą, ażeby natychmiast spróbowała swojego środka. Wtedy wystąpiła dziewica i zrzucając zasłonę zawołała: „Beauregardzie, mój najdroższy, ciężko doświadczony kochanku! To nie może trwać dłużej — przemów do mnie!“ Natychmiast poznał rycerz swoję najukochańszą Aurelią, która kochając go szczerze, stała przed nim głęboko wzruszona i zawstydzona takim dowodem miłości. Z uniesieniem wykrzyknął jej imię, i pochwycił z zapałem dłoń, którą mu podała.

Króla wzruszyła wielce ta przygoda romantyczna, i w dzień wesela ofiarował on państwu młodym znaczne dobra w podarunku.

(T a k ż e s p o s ó b r a t o w a n i a ż y c i a). Jeden z dzienników paryskich opowiada następujące rzekomo prawdziwe zdarzenie: Pan B. de T. zaślubił przed półrokiem mimo 55 wiosen swoich bardzo młodą kobietę, którą namiętnie kochał. Małżeństwo mimo różnicy wieku było szczęśliwe, tylko w jednym punkcie różniły się gusta obojga małżonków: jejmość lubiła niezmiernie psy, a jegomość nie cierpiał ich. Musiał jednak zgodzić się na to, żeby pani trzymała sobie malutkiego, białego pincza. Dość długo też pokonywał czuły małżonek swój wstręt, ale raz w uniesieniu gniewu porwał psiuka za kark i wyrzucił przez okno na dziedziniec. Skruszony pospieszył natychmiast nadół, ale przyniósł już tylko trupa szlachetnego zwierzątka. Na ten widok dostała małżonka kurczów nerwowych, z których wywiązała się zagrażająca jej życiu gorączka. I gdy lekarze stracili już wszelką nadzieję uratowania chorej, wpadł pan de T. na dziwny pomysł udawania psa własną osobą. Przykucznął tedy przy łóżku żony, która w malignie ciągle domagała się swego pincza, szczekał i skomlał naprzemian, a ona głaskała uradowana jego siwe włosy, sądząc, że to jedwabne kudełki jej ulubieńca. Skutkiem radości z odzyskania swego pieska zemdlała chora; potem nastąpił pokrzepiający sen, a po kilku godzinach, gdy się przebudziła, znikła zupełnie gorączka, i rozrzewiona tym dowodem miłości kobieta przebaczyła swemu strapionemu małżonkowi.

(A u t o g r a f). Halevy, sławny kompozytor francuzki, znajdował się w r. 1850 w Londynie, ażeby dyrygować na pierwszem przedstawieniu nowej swojej opery. Anglicy, jakkol-

wiek zimni z natury, są wielkimi miłośnikami muzyki; to też zachwyceni tym utworem nieszczędzili pochwał i hołdów temu prawdziwemu książęciu melodyi. Ale artysta nie zapomniał śród tych tryumfów o innym, niegdyś potężnym, a dziś pozbawionym tronu książęciu, z którym wiązało go uczucie wdzięczności. Halevy cieszył się zawsze względami Ludwika Filipa, bywał często gościem jego w Tuileryach, a nawet przypuszczano go do poufnych kółek familii królewskiej. Pomny tych względów kompozytor korzystał tedy ze posobności, ażeby odwiedzić sędziwego króla na wygnaniu jego w Claremont.

Widok Halevy'ego ucieszył i wzruszył Ludwika Filipa. W rozmowie z nim odświeżał najmilsze wspomnienia przeszłości, mówił o artystach, których protegował, a w końcu przeszła rozmowa na muzykę w ogólności. Król wspomniał o kilku pieśniach angielskich, które słyszał niedawno, i które mu się szczególnie podobały; zanucił jednę z nich, przespiewał nawet całą, gdy Halevy zachwycał się oryginalnością melodyi, a w końcu ofiarował się podyktować mu ją. Kompozytor przyjął z wdzięcznością tę ofiarę i pospieszył do biórka; ale król namyślił się inaczej, wziął pióro z jego ręki i oświadczył, że woli sam pisać, gdyż przy tem będzie pamięć jego wierniejszą, niż gdyby dyktował. Jakoż wkrótce spisał tekst i nuty, wprawdzie drzącą nieco ręką, ale czytelnie i dokładnie, i podał kartkę kompozytorowi. Halevy przebiegł ją oczyma z głębokiem wzruszeniem, a potem rzekł:

— „Król tak jest łaskawym dla mnie, że mię to ośmiela zanieść jeszcze jednę prośbę."

— „Jakąż to?" — spytał król.

— „Ta karta jest bardzo szacowna, ale miałaby ona nieocenioną wartość, gdyby u spodu znajdowało się jeszcze L. F.

— „A, rozumiem" — uśmiechnął się król — „autograf potrzebuje podpisu, ażeby był ważnym; dopełnię więc tej formalności." — I wziąwszy pióro znowu, podpisał swoję cyfrę, jako też miejsce i datę, a potem wręczając kartę Halevy'emu dodał:

— „Niech ten autograf, jeźli przejdzie do potomności, dowodzi światu, że Ludwik Filip, chociaż nie był już królem, miał przecież jeszcze przyjaciół."

(Niebezpieczeństwa redaktorskie). Stanowisko naczelnego redaktora dziennika ma swoje ciernie, a dowodem tego następujący wypadek, jaki się wydarzył panu W., redaktorowi dziennika w pewnem mieście irlandzkiem: Pierwszy numer tego dziennika zawierał ostry artykuł przeciw szulerni, odwiedzanej przez kilku osławionych oszustów. Zaraz nazajutrz otrzymał p. W. list bezimienny z wezwaniem, ażeby zaniechał swoich wycieczek, jeżeli nie chce być obity kijem. W odpowiedź na to umieścił redaktor w najbliższym numerze jeszcze ostrzejszy artykuł. Tego samego dnia, gdy nieustraszony pan W., z nożycami w ręku, siedział w pokoju redakcyjnym, wpada nagle jakiś olbrzymi drab, uzbrojony grubym kosturem.

— „Gdzie redaktor?!" — wrzasnął.

— „Własnie wyszedł" — odrzekł p. W. — „ale za chwilkę powróci. Chciej pan tymczasem usiąść i przeglądać najnowsze dzienniki."

Straszny gość usiadł, położył kostur obok siebie i zaczął czytać. Tymczasem redaktor zszedł spokojnie po schodach nadół; przy drzwiach jednak spotkał drugie indywiduum, uzbrojone jeszcze większym kosturem; artykuł skutkował widocznie.

— „Gdzie redaktor?!" — spytał nowy przybysz piorunującym głosem. — „Czy jest w swojem biórze?"

— „Jest, jest" — odpowiedział pan W. — „zastaniesz go pan w pokoju redakcyjnym, zajętego czytaniem dzienników."

Mąż z kosturem wbiegł na górę kilkoma skokami, wpadł do pokoju i rzucił się zaraz na siedzącego draba. Wszczął się zaciekły bój, szanowni zapaśnicy nieszczędzili sobie razów, a wkońcu stoczyli się obaj ze schodów nadół. Tu zaś podniosła ich czekająca straż policyjna i zaprowadziła do najbliższego biórą, ażeby wypoczęli tam po trudach wojennych.

(Audyencye u Cesarza austryackiego). Dnie, w których cesarz udziela posłuchania, bywają nieraz bardzo uciążliwe, zwłaszcza jeźli cesarz jakiś czas nie był obecnym w Wiedniu. Zdarza się wtedy, że w salach posłuchalnych zbiera się po kilkaset osób wszelkiego wieku, płci i stanu. W Austryi może każdy obywatel, zacząwszy od księcia do najbiedniejszego rzemieślnika lub włościanina, przedkładać cesarzowi osobiście swoję sprawę. Potrzebuje tylko w tym celu zgłosić się u sekretaryatu cesarza, gdzie zapisują jego imię i stan, i naznaczają mu dzień i godzinę posłuchania. Każdy przychodzi w ubiorze, jaki ma. Tak więc można w przedpokojach cesarskich widzieć w dniach audyencyi wyszywane złotem uniformy ministrów i wysokich urzędników państwa lub też oficerów wszelkich stopni i wszelkiej broni, a obok nich skromny czarny frak lub surdut, kurtkę Tyrolczyka lub styryjskiego strzelca, bundę węgierskiego Czikosa, okryty płótnianką kożuch galicyjskiego chłopa, jak również jedwabną suknię damy salonowej obok skromnego perkaliku kramarki. Dokoła ścian w długich salach poczekalnych znajdują się ławki, na których mogą siedzieć zgromadzeni. Po obudwu stronach wnijścia do gabinetu cesarza stoją gwardziści przyboczni w szkarłatnych kurtkach, białych skórzannych spodniach, wysokich butach i z helebardami. Adjutant cesarza, mający służbę, znajduje się w pobliżu drzwi z listą zapisanych do audyencyi, i oznacza ich kolej. Imię przypadającego z kolei wymawia adjutant głośno, ażeby wezwany mógł się zbliżyć do drzwi gabinetu i wejść natychmiast, gdy poprzednik opuści gabinet cesarski. Każdego wchodzącego oznajmia cesarzowi adjutant. Cesarz, który przyjmuje zawsze stojąc, postępuje kilka kroków naprzeciw wchodzącemu i pyta o jego żądanie. Wysłuchawszy potem spokojnie sprawy proszącego, odbiera pisemne podanie i załączone może dokumenta z oświadczeniem, że weźmie rzecz pod rozwagę i podług możliwości załatwi. Uważają to za dobry znak, jeźli cesarz naznaczy podanie swojemi cyframi. Jestto znak dla sekretaryatu cesarza, że sprawa ma być z szczególną troskliwością zbadana. Najczęściej oznacza to sygnowanie tyle, co przyzwolenie. Audyencye trwają często trzy do czterech godzin, gdyż wiele jest osób, które nie mogą żadną miarą krótko się wyrażać i plotą niestworzone rzeczy. Nigdy jednak nie okazuje cesarz ani cieniu niecierpliwości. Na uwagę zasługuje jeszcze, że przy tych posłuchaniach musi cesarz rozmawiać wszelkiemi językami, to po niemiecku, to po węgiersku, po polsku, po czesku, po kroacku lub po włosku. Odpowiedź otrzymują petenci zwykle w kilka tygodni poźniej, albo ustnie w sekreta-

ryacie albo pisemnie; w ostatnim wypadku albo wprost z kancelaryi gabinetowej, albo za pośrednictwem przynależnych władz politycznych.

(Badanie zbrodniarzy za pomocą wpływów psychologicznych) okazało się już nieraz bardzo skutecznem, a w najnowszych czasach doświadczono znowu tego systemu z najpomyślniejszym skutkiem na jednej z najciekawszych osobistości twierdzy szegedyńskiej, na zatwardziałym zbrodniarzu Janie Bajdorze, z bandy Rosy Szandora, który w żaden sposób nie chciał się przyznać do dwóch podwójnych morderstw, połączonych z rabunkiem. Otóż jak go doprowadzono do zeznania: Sędzia śledczy wiedział, że Bajdor jest zabobonny; kazał tedy pewnego wieczora przyprowadzić go i rzekł do niego: „Janie Bajdorze, przez Was nie mogę już od dłuższego czasu sypiać po nocach. Dusza Piotra Bodrego, którego zamordowaliście, przychodzi w nocy do mnie i odgraża się, że tak długo nie da mi spokoju, dopokąd nie powieszę Wam na szyi tego stryczka, którym udusiliście go.“ Poczem zarzucił Bajdorowi stryczek na szyję i kazał go napowrót odprowadzić do więzienia. Zegar ogłasza północ, straż woła: „baczność!“, w więzieniu panuje grobowa cisza. Noc była ciemna; Jan Bajdor, zbrodniarz skazany już za 59 zbrodni, zaczyna się bać; w półśnie obudza się uspione oddawna sumienie, majaczącemu winowajcy pokazuje się postać Piotra Bodrego; z okropnym krzykiem rzuca on się do drzwi więzienia, prosząc o otworzenie ich, i psychologia odnosi tryumf, gdyż Jan Bajdor wyznaje obadwa podwójne morderstwa i cały szereg innych zbrodni, i wskazuje miejsce, gdzie Piotr Bodri i jego czternastoletni syn byli zakopani, i gdzie też istotnie znaleziono ich ciała, a na szyi Bodrego stryczek, którym Bajdor go udusił. Odtąd stał się Bajdor, ów okrzyczany rozbójnik, ta poczwara krwi chciwa, łagodnym jak baranek, objął pomiędzy więźniami niejako rolę misyonarza, i udało mu się już nakłonić do zeznania kilku zatwardziałych zbrodniarzy.

(Próżność autorska może mieć także swoję dobrą stronę). Pewien fejletonista francuzki opowiada następującą zabawną anegdotę: „Było to za Napoleona I., gdy pewien młody poeta, imieniem Viennet, przedłożył dyrektorowi teatru „Comédie Française“ swoję pięcioaktową trajedyą.

— „Nie zła, nie zła“ — rzekł dyrektor przeczytawszy sztukę — „ale trajedya pańska zyskałaby bardzo wiele na tem, gdybyś pan zamknął rzecz w ciaśniejszych ramach. Zrób pan z tych pięciu aktów trzy, a ja przedstawię tę sztukę.“

— „Przenigdy!“ —zawołał młody autor. — „Moja sztuka potrzebuje koniecznie pięciu aktów, i wolałbym umrzeć, niż dozwolić na wyrzucenie choćby jednego aktu!“ I odszedł rozgniewany.

W jakiś czas potem został nasz poeta żołnierzem i poszedł na wojnę. Pod Lipskiem, w wielkiej bitwie narodów, poczuł naraz jakieś gwałtowne wstrząśnienie w okolicy krzyżów. I jakież było zdziwienie jego, gdy wieczorem zdejmując ładownicę, gdzie spoczywała jego droga trajedya, spostrzegł, że była przedziurawiona kulą!

— „Otóż widzicie“ — zawołał, wyjmując rękopis, do swoich towarzyszy broni — „gdybym był usłuchał dyrektora, byłoby już po mnie. Patrzcie, kula zatrzymała się przy czwartym akcie!“

(Wyrok Salomonowy w Kalifornii). Jakiś robotnik w kopalni został oskarzony, że skradł swemu koledze worek ze złotym piaskiem. Świadkowie zeznali, że złodziej wsunął się do połowy ciała popod namiot i porwawszy worek wylazł napowrót. Jego obrońca, dowcipna głowa, oparł obronę na tej okoliczności i dowodził, że trybunał sądowy nie może skazać obżałowanego, ponieważ oskarzenie opiewa, że złodziej wszedł do namiotu, a świadkowie zeznali, że połowa jego ciała pozostała zewnętrz namiotu. To rozumowanie zabałamuciło tak dalece przysięgłych, że pozostawili sędziemu rozstrzygnięcie sprawy. Ten zaś skazał winowajcę na pięcioletnią robotę przymusową, oświadczając jednak, że wymierza tę karę tylko na winną połowę ciała obżałowanego, która wlazła do namiotu i skradła worek, a uwalnia tę, która pozostała zewnątrz, pozostawiając przytem skazanemu do woli, w jaki sposób zechce odłączyć połowę winną od niewinnej, jak to przedstawił obrońca. Wobec takiego wyroku nie pozostało skazanemu nic innego, jak tylko w całości udać się do więzienia.

(Grzeczny tenorzysta). Rzecz dzieje się w lasku bolońskim w Paryżu. Pan Georges przechadza się z jednym ze swoich przyjaciół, a przed nimi kroczy dumnie pewien tenorzysta, któremu nie wiedzie się na scenie, a który ma zwyczaj spiewać ciągle po drodze.

— „Założę się z tobą“ — mówi Georges do przyjaciela— „że dam temu jegomości kuksa w bok, a on mi za to grzecznie podziękuje.“

— „Zapewne jestto twój dobry przyjaciel.“

— „Bynajmniej.“

— „Więc stoi zakład.“

Wkrótce potem otrzymał trelujący tenorzysta bolesnego kuksa w żebra i obrócił się z największem oburzeniem.

— „Ach, przepraszam pana najmocniej!“ — mówi Georges kłaniając się jak najgrzeczniej. — „Zdawało mi się, że słyszę głos mego przyjaciela Dapreza.“

Zachwycony tym komplementem spiewak (Daprez bowiem jest znakomitym tenorzystą), uchyla grzecznie kapelusza i mówi:

— „O, pan jesteś zbyt łaskaw!“—I Georges wygrał zakład.

(Ofiara naiwności). Niedawno udzielał Papież posłuchania kilku znakomitszym cudzoziemcom, przebywającym w Rzymie, między którymi stanowili większość Anglicy i Amerykanie. Ojciec święty zapytywał każdego po zwyczaju, z jakiego kraju pochodzi i czem się trudni, a najchętniej rozmawiał z damami, które z wielką nieśmiałością i jąkając się odpowiadały na jego zapytania. Pewna młoda dama, Angielka, była jeszcze bardziej zmieszana, niż jej towarzyszki, i gdy Papież zwrócił się do niej z zapytaniem, gdzie się rodziła, młoda Lady, nie zrozumiawszy z wielkiego zakłopotania Jego świątobliwości, odpowiedziała: „Mam 24 lat.“ Papież nie mogąc ukryć uśmiechu, powtórzył: „Pytam, gdzie pani się rodziła.“ Lady zmieszała się jeszcze bardziej i wyjękła zaledwie zrozumiałym głosem: „Módl się za mną, Ojcze święty, jam skłamała! Za kilka miesięcy będę miała . . . 29 lat.“ — Można sobie wyobrazić, jak ta naiwność ubawiła Ojca świętego.

Nowe książki.

Zła Wróżba, powieść przez autora „Ostatniej Ofiary“ 2 t. we Lwowie, z drukarni E. Winiarza 1873.

Powieść ta, poświęcona Bolesławicie, i jak autor przyznaje, „napisana młodzieńczem piórem“, przypomina mocno manierą swoją i zapatrywaniami się politycznemi pióro, które skreśliło „Patrycyusza“ i niedawno wydanego „Al Hakima“, oraz „Ostatnią Ofiarę“. Za tło jej służy, również jak i wymienionym powyżej pracom, ostatnie powstanie nasze; tak samo tutaj jak i w tamtych utworach czuć się daje przy silnem uczuciu patryotycznem woń konserwatyzmu i szlachecczyzny, też same malowanie czarnemi barwami dążeń demokratycznych, a mianowicie postaci tak nazwanych „chłopomanów“, a w tej powieści, o której mówimy, szczególniejszy nacisk nawet położony na zasady autora, a to przez nadanie ludowi ukraińskiemu, (bo rzecz na Ukrainie się dzieje), smutnej i powtarzającej się roli przyjaciół i zbirów moskiewskich. Cała doza szkaradzieństw, nikczemności i małoduszności dostaje się w udziale potomkom ekonomów-łotrów i innych ejusdem farinae; co jasne, to pańskie, arystokratyczne lub najmniej szlącheckie. Co silniej jeszcze uwydatnia to pokrewieństwo rozbieranej tu pracy z innemi wymienionemi obok, to maniera stylowa i sposób budowania powieści. I tutaj to samo, co gdzieindziej, naśladowanie poetycznej prozy Krasińskiego, wybujałej, rytmicznej prawie czasami, też same przed każdym rozdziałem istotnym jakoby prologi poetyczne, rysujące tło, porę roku, okolicę, naturę. Maniera ta ckliwa jest sztuczna i szkodzi wrażeniu całości, tembardziej, że odsuwając na bok tendencyą, ilekroć autor wkracza w istotną treść powieści, objawia w skreśleniu ludzi i sytuacyi tyle realizmu i obserwacyi, że bez powyższej wady, rzeczywisty talent powieściopisarski powitaćby w nim było można. Pomysł zresztą grzeszy fatalistycznością. Nazywa się to zła wróżba, i zaczyna się od złej wróżby, przez cygankę uczynionej bohaterce powieści w dzieciństwie, której spełnienie niechybne odbiera wszelką odpowiedzialność najgłówniejszej osobie powieści. Dramatyczność przeto znika zupełnie, mimo że są do niej materyały w powieści.

Obrazki z mojego sąsiedztwa, z notat pana Antoniego spisał Leon Kunicki. Warszawa. Nakładem G. Sennewalda, 1872.

Autor tych kilku drobnych, razem zebranych szkiców humorystycznych, świeżo zmarły, znany jest czytelnikom pism warszawskich, a szczególniej Tygodnika ilustrowanego, z prac swoich podobnego rodzaju, do których sam często ilustracye i karykatury dorysowywał. Ten tomik składają obrazki z wiejskiej obywatelskiej sfery następujące: „Pan Sędzia i Pani sędzina; Pan Fortunat; Preferans nałogowy u pani prezesowej; Gawęda po obiedzie; Pantofel.“ Nie jest to właściwie humorystyka ani humor. Obrazki schwytane na gorąco, jaskrawo malowane, bez odcieni i kontrastów, grubemi rysami, napierają się ołówka karykaturzysty i są tem, co Francuzi nazywają une charge. Pomysły te pospolite, tysiąc razy widziane, i opisywane bez subtelniejszej i nowej obserwacyi jakiej, ratuje tylko wesoły ton opowiadacza. Język, niestety, bardzo błędny i popsuty. Nie możemy wstrzymać się od przytoczenia na dowód choć małego ustępu:

„Powiedział ktoś, że byłoby bardzo smutno i monotonnie na świecie, gdyby nie było głupstw a wszyscy rozsądnie i dobrze postępowali; jest w tem po części i racya, chociaż nieraz tak jak jest, byłoby bardzo śmiesznem, gdyby najczęściej nie było bardzo smutnem!“

Sprawa kryminalna, powiastka przez J. I. Kraszewskiego. Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego. Poznań.

Powiastka to maleńka, a kusząca do szerszego rozbioru. Jestto prawdziwy brylancik, uroniony z niewyczerpanego skarbca naszego powieściopisarza. Niczego w niej nie braknie, ani żywego i osobliwie zręcznie utrzymanego interesu, ani całej galeryi różnorodnych, a mistrzowsko na tak mały rozmiar utworu, narysowanych i wykończonych postaci; brak tylko prawdopodobieństwa i to w węźle powieści. Wadę tę, troskliwie zacieraną przez autora, i którą ciekawość czytelnika, właśnie przez nią rozbudzona, z łatwością wybaczy i przeskoczy, hojnie okupuje urok zagadki i szereg interesujących sytuacyi z tego węzła rozsnuwajacych się... Kusi nas poprzeć się, wytłumaczyć i usprawiedliwić sąd nasz opowiedzeniem treści utworu, ale powiastka jest tak mała, że boimy się, aby nie powtórzyć jej tym sposobem całej, i złej przysługi tak autorowi, jak czytelnikom nie wyświadczyć. Dosyć będzie, jeżeli powiemy, że zaczyna się to, jak najciekawsza afera kryminalna p. Emila Gaboriau, że jest tam nawet jakiś kuzynek agenta Lecocq, przebrany za pisarza Małejkę; jest hrabia galicyjski, jest stary dzielny zacięty szlachcic, prezes, kilka kobiet, co jedna, to lepsza, a wreszcie, że ów błąd kardynalny i węzeł nieprawdopodobny stanowi stratagema, wymyślone przez nieszczęśliwego kochanka dla połączenia się z przedmiotem swojej wytrwałej, nie naszoczasowej miłości. Z całego utworu wieje woń takiej staropolskości, i tyle tam poczciwych ludzi, że aż pogodniej się robi po jego przeczytaniu. Czytajcie, a przekonacie się!

Poczta »Strzechy.«

Panu W. R. w Poznaniu: *Rozprawa pańska bardzo szacowna, ale dla czytelników „Strzechy“ zanadto ciężka; zwracamy ja więc.*

Panu I. H. w Toruniu: *Sprawozdanie o uroczystości kopernikowskiej przyszło już zapoźno, a w następnym zeszycie nie byłoby już na czasie.*

Pani L. M. w Stanisławowie: *Próba „Podniebnego lotu“ wypadła niepomyślnie; widocznie skrzydła za słabe; dlatego radzimy trzymać się strzechy domowej i zbierać zdrowe ziarenka na ojczystej roli.*

Nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło.



Szlachcic: Zrób mi kapotę; tylko długą i szeroką, sukna masz dosyć.
Krawiec: Będzie jak W. Pan sobie życzy.
Szlachcic: Ale powtarzam: nie żałuj sukna.



S.: Cóż to? krótka... ciasna... zepsułeś, Mospanie!
K. (zakłopotany). Niech wielmożny Pan się nie gniewa, ja W. Panu zrobię z tego bardzo dobrą kurtkę domową.
S.: No zrób.



S.: Oszalałeś! a gdzieżbym ja w tem chodził, jak fircyk jaki!
K.: (przestraszony) Prawda, nie udała się kurtka, ale ja W. Panu zrobię z niej doskonałą kamizelkę.
S.: Ha, to niechże przynajmniej będzie dobra kamizelka.



S : (rozgniewany) Do stu katów, nawet zapiąć nie mogę. Napsułeś tyle sukna, i nic z tego nie ma.
K.: (zrozpaczony) W. Panie, nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło; ja W. Panu jeszcze z tego coś zrobię, z czego W. Pan pewnie będzie kontent.
S.: No zobaczę.



K.: A co W. Pan na to!?
S.: (udobruchany) a, wiesz, to ci się udało — doskonałe!

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.